



WOŁYŃ 1943

Ludobójstwo Polaków na Wołyniu 1939–1945
Świadectwa

Gdańsk 2019





Gajówka nad rzeką Horyń,
Janowa Dolina, pow.
kostopolski.

PRAGNIEMY ZŁOŻYĆ SERDECZNE PODZIĘKOWANIA
NA RĘCE RODZIN WOŁYŃSKICH, KTÓRE PODZIELIŁY
SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI I PRZEKAZAŁY RODZINNE
FOTOGRAFIE. DZIĘKUJEMY Z GŁĘBI SERCA PAŃSTWU:

Mariannie Albińskiej, Reginie Brackiej, Wacławie Borucińskiej,
Kazimierzowi Brodnickiemu, Danucie Chamielec, ks. dr.
Karolowi Dąbrowskiemu, Krzesimirowi Dębskiemu, ks. kan.
Czesławowi Dręzkowi, prof. dr. hab. Władysławowi Filarowi,
Janinie Kalinowskiej, Władysławie Kamińskiej, Leokadii
Klech, Feliksowi Kosteckiemu, Marcinowi Krzysztofikowi,
Danieli Kubiczek, Marzenie Kujot, Walentynie Lenarczyk,
Janinie Leśniewicz, Edmundowi Leśniewiczowi, Adeli
Lichockiej, Ryszardzie Łazorczyk, Jerzemu Miąskowskiemu,
Janowi Michalewskiemu, Barbarze Nowak, Ludwice Orlik,
Bogumiłowi Oświecimskiemu, Jadwidze Pasikowskiej, Ewie
Siemaszko, Albinowi Sulikowskiemu, Zofii Szwał, Rozalii
Wielosz, Tadeuszowi Wolakowi, Janinie Żarczyńskiej.

SKŁADAMY RÓWNIEŻ PODZIĘKOWANIA RECENZEN-
TOM PUBLIKACJI: prof. dr. hab. Markowi Wierzbickiemu
i dr. Leonowi Popkowi.

Na poprzedniej stronie: Azalia pontyjska (*Azalea pontica*), zwana także róża-
necznikiem żółtym (*Rhododendron flavum*), powiat kostopolski na Wołyniu.

4

Województwo wołyńskie
z podziałem na powiaty.



Mapa Rzeczypospolitej Polskiej
w latach 1918–1939.



Krzyż na skraju
wsi wołyńskiej.
Fot. AIPN.

GENOCIDIUM ATROX

Ludobójstwo na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej

W latach 1939–1947 Polacy mieszkający w granicach przedwojennej Rzeczypospolitej Polskiej na Wołyniu, w Małopolsce Wschodniej (województwo lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie), a także w województwach lubelskim i poleskim, stali się ofiarami przesyconego okrucieństwem ludobójstwa popełnionego przez członków ugrupowań nacjonalistycznych Ukraińskiej Powstańczej Armii / Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (UPA /OUN) i innych wciągniętych do zbrodni Ukraińców. Pomocą służyły im także inne formacje ukraińskie, w tym dywizja SS-Galizien. Ukraińcy, wzorem nazistowskich Niemiec, postanowili stworzyć grunt pod budowę przyszłego, własnego państwa poprzez eksterminację ludności niebędącej rdzennie ukraińską: „KTO NIE UKRAIŃCIEC NA UKRAIŃSKIEJ ZIEMI – TEMU ŚMIERĆ. HISTORYCZNYM NASZYM WROGOM – POLAKOM, WĘGROM I ŻYDOM – IM WSZYSTKIM ŚMIERĆ” (fragment ulotki OUN).

5



Przedwojenny herb Wołynia.




Rodzina Rudnickich
zamordowana przez UPA
we wsi Chobułtowa,
gm. Mikulicze, pow.
włodzimierski.
Fot. AIPN.

6

Ofiary bestialskiego mordu
dokonanego przez uzbrojoną
bojówkę upowców w Kolonii
Katerynówka (gm. Rożyszcze,
pow. łucki) w nocy z 7 na 8 maja
1943 r. Dwaj synowie Piotra
Mękala i jego żony Anieli
z Gwiazdowskich – Janusz
(3 lata) i Mirosław (2 lata).
W środku z rozprutym brzusz-
kiem Stanisława Stefaniał
(6 lat). Fot. AIPN.



Wkroczenie wojsk nie-
mieckich w 1941 r. Niemcy
witani przez mieszkańców
m. Kółki, pow. łucki, na-
rodowości ukraińskiej,
na tle posterunku policji
ukraińskiej.
Fot. AIPN.



Pojedyncze napady band ukraińskich na Polaków – osoby cywilne i żołnierzy Wojska Polskiego, miały miejsce już we wrześniu i październiku 1939 r. W kolejnych latach nasilały się mordy w pojedynczych polskich gospodarstwach nauczycieli, leśników, zarządców majątków, jednym słowem osób znaczących w lokalnym społeczeństwie. Wprowadzenie w życie ludobójczej ideologii masowych mordów Ukraińcy zapoczątkowali przeprowadzeniem zagłady Żydów. Tuż po wypowiedzeniu przez Niemcy wojny ZSRS w 1941 r. okupacja sowiecka wschodnich ziem polskich została zamieniona na okupację niemiecką. Ukraińcy sprzymierzyli się z niemieckimi nazistami, a podległa Niemcom policja ukraińska zaangażowała się w likwidację żydowskich gett, tropienie ukrywających się, rabunek żydowskiego mienia. Pogrom przeżyli nieliczni Żydzi.

Tysiące uzbrojonych i przeszkolonych przez Niemców policjantów ukraińskich, zaprawionych w przeprowadzaniu masowych mordów na Żydach, w marcu i kwietniu 1943 r. zdezerterowało i na rozkaz OUN zasililo istniejące bojówki UPA, przystępując do masowego wymordowania Polaków i innych narodowości, przede wszystkim mniejszości czeskiej i Ukraińców sprzeciwiających się ludobójstwu. Do największych mordów na Polakach doszło właśnie w 1943 r. Zapoczątkował je w lutym atak bojówek bulbowskich na kolonię Parośla I na Wołyniu, w którego trakcie zginęło 173 Polaków. W okresie Wielkanocy zginęło około 1300 Polaków w co najmniej 57 miejscowościach. Apogeum zbrodni nastąpiło 11 lipca 1943 r., kiedy to ukraińscy nacjonalisci zaatakowali 99 polskich miejscowości. W czasie „krwawej niedzieli” mordowali Polaków również w kościołach, podczas mszy świętych (m.in. w Kisielinie, Chrynowie, Porycku i Zabłotcach).

Szacunki ofiar wśród ludności polskiej na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej sięgają



Msza polowa przed przysięgą oddziału partyzanckiego „Luna”, wrzesień–październik 1943 r., okolice Hynicza k. Przebraża, pow. łucki. Fot. AIPN.

8

130 tys. UPA z zaskoczenia spędzała ludność polską do jednego miejsca, okrążała ją i rozpoczynała rzeź. Polacy byli rozstrzeliwani, paleni żywcem, topieni w rzekach i studniach, zakłuwani nożami, masakrowani kolbami karabinów, rąbani siekierami. Ofiary wcześniej często poddawano bestialskim torturom, łamano im kości, wydłubywano oczy, ćwiartowano, obcinano piersi, obdzierano ze skóry, wiązano drutem kolczastym, wleczono końmi, gwałcono, a zwłoki profanowano.

Mordowano całe polskie rodziny, w sposób barbarzyński i odrażający zabijając także dzieci i kobiety. Tak zwana przez Ukraińców „akcja oczyszczania” objęła również rodziny polsko-ukraińskie. Wartościowe rzeczy, bydło i żywność Ukraińcy zabierali. Zacierano wszelkie ślady polskości, palono i równano z ziemią całe polskie wsie, domostwa, dworki, kościoły, cmentarze, pomniki. Palono zwłoki ofiar znajdujących się w masowych grobach, by ukryć wszelkie ślady i dowody ludobójstwa.

Wszelkie próby porozumienia wychodzące ze strony polskiej, w tym od przedstawicieli Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, kończyły się fiaskiem – albo



Odzznaka 27 Dywizji Wołyńskiej Armii Krajowej. Fot. AIPN.

do rozmów nie dochodziło w ogóle, albo Polacy byli podstępnie mordowani, jak por. Zygmunt Rumel i ppor. Ryszard Markiewicz.

Ukraińcom, którzy nie godzili się na okrutne zbrodnie i czynnie lub biernie pomagali Polakom, groziła śmierć. Mimo to wielu Polaków ocalało dzięki pomocy Ukraińców lub ostrzeżeniu o zbliżającym się pogromie.

Polacy bronili się przed wymordowaniem w różny sposób. Miesiącami nocowali w lasach i piwnicach, by stworzyć wrażenie opustoszałej wioski i nie dać się zaskoczyć w czasie snu. Schodzili się do wybranego gospodarstwa i ustawiali warty. Przenosili się do większych miejscowości. W styczniu 1943 r. zaczęli tworzyć placówki samoobrony (polskie osiedla, w których bezpieczeństwa Polaków strzegły oddziały samoobrony) i ośrodki (bazy) samoobrony, stworzone z zespołu polskich wsi i kolonii związanego wspólnym systemem samoobrony. Miały one szansę istnienia tylko w tych miejscowościach, w których ludność polska stanowiła zdecydowaną większość. Brakowało w nich broni, amunicji i ludzi z doświadczeniem wojskowym, gdyż większość ważniejszych przedstawicieli lokalnych środowisk została w latach 1939–1941 zamordowana

9

Uroczystość wręczenia proporca III batalionu 50 pułku piechoty 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Drugi z prawej: dowódca batalionu por. Zbigniew Twardy ps. „Trzask”, Świniarzyn, marzec 1944 r. Fot. AIPN.





Spotkanie Koła Wołyńskiego
Związku Młodzieży Wiejskiej
w Iwaniczycach, gm. Kniahininek,
pow. łucki, 21 sierpnia 1932 r.
Fot. ze zbiorów autora.

10

lub deportowana przez Sowieców w głąb ZSRS. Istniejąca od 1942 r. konspiracja Związku Walki Zbrojnej, następnie przemianowana na Armię Krajową, była nakierowana na walkę przeciwko Niemcom, mimo to jej żołnierze należeli do organizatorów i dowódców placówek samoobrony. Bazy samoobrony chroniły polskie rodziny zamieszkałe w okolicy i przybywające do baz. Ośrodkom i placówkom udawało się utrzymać od miesiąca do prawie roku.

Na Wołyniu w lipcu 1943 r. istniało około 100 polskich placówek – była to największa liczba działających jednocześnie punktów samoobrony. Do najsilniejszych należały: Przebraże (pod dowództwem Henryka Cybulskiego ps. „Harry” i Ludwika Malinowskiego), Pańska Dolina, Huta Stara, Huta Stepańska-Wyrka, Zasyмки, Rożyszcze, Antonówka Szepelska, Bielin-Spaszczyzna, Jagodzin-Rymacze. Panowało w nich przeludnienie (stanowiły schronienie nawet dla kilku tysięcy Polaków), złe warunki sanitarne i głód, lecz zapewniały to, co najcenniejsze – nadzieję na przetrwanie. Szczegółowo przemyślane zabezpieczenia i doskonała organizacja rekompensowały brak żołnierzy i broni. Ustawiano stałe warty i czujki, uzbrojone często



w kosy i piki, przeprowadzano zwiad, starano się kupić broń od Węgrów i Niemców, uruchamiano warsztaty rusznikarskie. Dookoła samoobron budowano rowy strzeleckie i zasieki z drutu kolczastego. Organizowano szpitale i komórki aprowizacji. Mimo heroicznej obrony tylko kilkanaście samoobron zdołało się utrzymać i doczekać do zajęcia Wołynia przez wojska sowieckie w 1944 r.

W połowie 1943 r. Okręg Wołyń Armii Krajowej zorganizował kilka oddziałów partyzanckich pod dowódctwem: „Spalonego”, „Olgierda”, „Gzymśa”, „Bomby”, „Jastrzębia”, „Kani”, „Sokoła”, „Grońskiego”, „Jagody”, „Jurka”, „Małego”, „Kordy”, „Drzazgi”, „Lamy”, „Piotrusia”, „Paluszka”, „Ryszarda”, które miały za zadanie, oprócz walki z Niemcami, również obronę ludności przed UPA. Wszystkie oddziały liczyły razem około 1500 żołnierzy.

W styczniu 1944 r., w celu realizacji akcji „Burza” na Wołyniu, rozpoczęto formowanie 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Na miejsca zbiórki wyznaczono rejony samoobrony polskiej w Zasmykach i w Bielinie. Oddziały wojskowe formowano z żołnierzy konspiracji i członków samoobron. W wyniku mobilizacji postawiono pod broń

Żołnierze z batalionu porucznika Franciszka Pułackiego „Gzymśa”.
Fot. AIPN.



12

6,5 tysiąca żołnierzy. Od stycznia do marca 1944 r., w ramach działań o poszerzenie bazy operacyjnej do podjęcia walki przeciwko Niemcom, przeprowadzono 16 większych akcji bojowych przeciw zgrupowaniom UPA. Aktywne działania na terenie Wołynia rozpoczęła również Armia Czerwona. Współpracę w walce przeciwko okupantowi niemieckiemu zdradziecko przerwali Sowieci. 25 lipca 1944 r. zwycięski szlak bojowy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK na Wołyniu i Lubelszczyźnie przeciw Niemcom został przerwany przez Armię Czerwoną, która podstępnie rozbroiła polskich żołnierzy w Skrobowie na Lubelszczyźnie.

Działania wojenne przyczyniły się do powolnego końca koszmaru bezbronnej ludności cywilnej, przede wszystkim dzieci, kobiet i starców.

Opustoszałe wioski na terenie Ukrainy do dziś pozostają niemym świadectwem zbrodni. Dziesiątki tysięcy ofiar nie mają godnego pochówku i upamiętnienia.

Żołnierze oddziału samoobrony z Przebraża po zwycięstwie nad UPA we wsi Omelno, 2 października 1943 r. Fot. AIPN.

Na następnej stronie grób Aleksandra Dąbrowskiego w m. Orzeszyna, pow. włodzimierski. Fot. AIPN.



Kilka słów o sprawcach

13

Ideologiczną przykrywkę genocidium atrox opracowała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, powołana w 1929 r. przez I Kongres Ukraińskich Nacjonalistów w Wiedniu. W 1940 r. nastąpił rozłam OUN na dwie organizacje na czele których stali Stepan Bandera (OUN-B) oraz Andrij Melnyk (OUN-M). Trzecią organizacją nacjonalistyczną, która w sierpniu 1943 r. została podporządkowana przez banderowców, kierował Maksym Borowець, pseudonim Taras Bulba. Każde z nacjonalistycznych ugrupowań miało swoje formacje zbrojne, które dokonywały eksterminacji ludności polskiej. Istniały dwie terrorystyczne organizacje – Ukraińskie Armie Powstańcze, UPA bulbowska i UPA banderowska. Najliczniejsza i najbardziej obciążona zbrodniami ludobójstwa była Ukraińska Powstańcza Armia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (UPA / OUN), kierowana przez Stepana Bandere i Mykołę Łebedę, ps. Maksym Ruban. Na Wołyniu do głównych organizatorów UPA należeli również: Wasyl Sydor „Szelest”, Dmytro Kljaczkiwskyj „Kłym Sawur”, Roman Szuchewycz „Taras Czuprynka” i Rostysław Wołoszyn „Horbenko”, „Pawłenko”. Wszyscy mają krew bezbronnych na rękach.



Katedra Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku.

14



Widok na ulicę Jagiellońską w Łucku.



Głównymi bohaterami niniejszej publikacji są osoby pochodzące z Wołynia, Polacy, którzy przetrwali sowieckie, niemieckie i przede wszystkim ukraińskie morderstwa w czasie II wojny światowej. Udało nam się zebrać dziesiątki relacji świadków, dokumentów, pamiątek i oryginalnych fotografii, niektórych unikatowych, dotychczas nie publikowanych, przedstawiających m.in. życie codzienne w bazie samoobrony w Przebrażu, czy przedwojenne wioski i miasta wołyńskie.

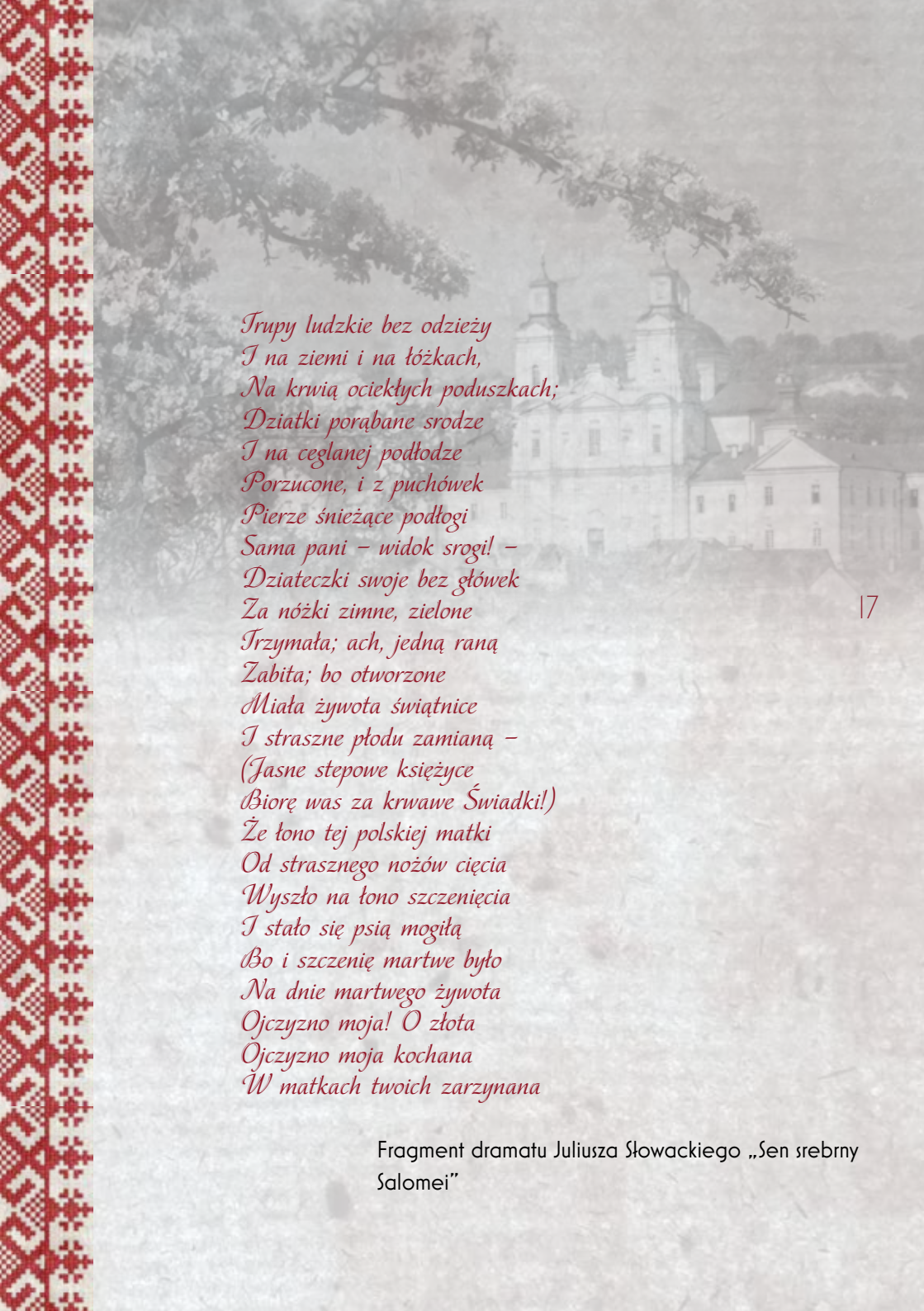
Kwintesencję naszej pracy składamy na Państwa ręce. Wybraliśmy fragmenty relacji, które w układzie chronologicznym przedstawiają koszmar genocidium atrox – ludobójstwa ze szczególnym okrucieństwem na Wołyniu. Nasze działania zmierzające do zachowania pamięci, o którą „wołają ofiary”, na tym się nie kończą. Serdecznie zapraszamy wszystkich Państwa, którzy chcieliby się z nami podzielić zbiorami i wspomnieniami, do kontaktu z Instytutem Pamięci Narodowej.

Pierwsze uroczyste obchody Święta Niepodległości w Łucku, które na mocy ustawy z dn.23 kwietnia 1937 r. stało się świętem państwowym, Łuck 1937 r.

Poniżej: Pogrzeb polskich ofiar zamordowanych przez UPA w nocy z 6 na 7 maja 1943 r. we wsiach Katerynówka i Klepaczów. Fot. AIPN.

Na następnej stronie: Krzemieniec, miejsce urodzin Juliusza Słowackiego. Widok na Liceum Krzemienieckie. Fot. NAC.





*Trupy ludzkie bez odzieży
I na ziemi i na łózkach,
Na krwią ociekłych poduszkach;
Dziatecki porąbane srodze
I na ceglanej podłodze
Porzucone, i z puchówek
Pierze śnieżące podłogi
Sama pani – widok srogil! –
Dziateczki swoje bez główek
Za nóżki zimne, zielone
Trzymała; ach, jedną raną
Zabita; bo otworzone
Miała żywota świątnice
I straszne płodu zamianą –
(Jasne stepowe księżyce
Biorę was za krwawe Świadki!)
Że łono tej polskiej matki
Od straszego nożów cięcia
Wyszło na łono szczenięcia
I stało się psią mogiłą
Bo i szczenię martwe było
Na dnie martwego żywota
Ojczyzno moja! O złota
Ojczyzno moja kochana
W matkach twoich zarzynana*



REGINA BRACKA



Ozerce, pow. łucki

Wołyń zapamiętałam jako równinę bogatą w żyzną i urodzajną ziemię, z dużą ilością lasów dębowych. Powiatowe miasteczko Rożyszcze, wojewódzkie Łuck. Moja rodzinna wieś Ozerce należała do parafii w Łucku. Była to najdalej oddalona wioska w parafii. W Ozercach tylko nieliczne rodziny były polskie, większość miała pochodzenie niemieckie. We wsi znajdowała się kircha tj. kościół protestancki. W Iwańcyczach, 5 km dalej, był kościół prawosławny. Na Wołyniu ludność była mieszana: Żydzi, Niemcy, Polacy, Rosjanie i Ukraińcy. W czasie zaborów ludzie podążali na wschód, przyciągały ich bardzo żyzne ziemie. Ludzie żyli w zgodzie.

Jednak w czasie wojny powstały bandy ukraińskie. Z każdym rokiem siały coraz większe spustoszenia, napadały na wioski, rabowały i paliły domy. W styczniu 1943 r. jedna z takich band napadła na naszą wioskę Ozerce. Przed napaścią ludzie ze wsi pojechali po siano, które znajdowało się w opuszczonej przez Niemców stodole w sąsiedniej wiosce. Jadąc z powrotem, zobaczyli bandę i zaczęli uciekać furmankami. Mój mąż Feliks także jechał po siano, ale trochę później. Zaniepokoiły go jakieś osoby znajdujące się w opuszczonym niemieckim domu. Domyślił się, że są to ukrywający się Ukraińcy. Zawrócił natychmiast. Zaczęła się strzelanina. Zabito wówczas siedmiu Polaków, w tym brata męża Antoniego Brackiego. Kiedy Feliks dotarł do domu, postanowił, że musimy stamtąd uciekać. W pośpiechu zabilśmy świniaka i oprawiliśmy go. Kiedy Ukraińcy zaczęli podpalać domy we wsi, uciekliśmy z dziećmi do rowu w pobliskie pola zabierając ze sobą pierzynę i tak doczekaliśmy do rana. Na szczęście zima była łagodna, nie była mroźna i śniegu nie spadło zbyt wiele. Kiedy banderowcy odeszli w las, spakowaliśmy co mogliśmy (zabitego świniaka, zboże, które wcześniej mąż zakopał, ziemniaki, pościel) i wraz z dziećmi furmanką z jednym koniem uciekliśmy 5 km dalej do Posiołki Kopaczowskiej, niedaleko Kopaczówki, bo tam nie było już miejsca.

19



20



Obrazek Chrystusa Miłosiernego Tarnorudzkiego w Rożyszczech na Wołyniu, wręczony przez księdza Reginie Brackiej w związku z opuszczeniem parafii i Wołynia w czerwcu 1945 r. Obecnie obraz uratowany z Wołynia znajduje się w parafii św. Jana Chrzciciela w Zielonce Pasłęckiej.

Kiedy się trochę uspokoiło, Polacy wracali do swoich domów zobaczyć, co jeszcze można uratować. W naszym domu wszystko się spaliło.

W domu moich rodziców, Marii i Włodzimierza Kozłowskich, była przekazywana z pokolenia na pokolenie mała, drewniana figurka Matki Boskiej. Mierzyła ok. 15 cm, stała na kuli ziemskiej, u stóp miała wijącego się węża. Mama dostała ją od swojej matki Józefy. Przywieziono ją kiedyś z pielgrzymki do Częstochowy. Dokładnie nie wiemy, w którym roku i wieku ją kupiono. Zarówno ja, jak i moje rodzeństwo bawiliśmy się tą figurką w dzieciństwie. Kiedy podpalano wieś, mama uciekając, zostawiła tam figurkę Matki Boskiej. Postawiła ją w oknie, między szybami. Chciała wrócić po nią później. Według naocznych świadków banderowcy trzy razy próbowali podpalić słomiany dach z różnych stron domu i trzy razy ogień gasł. Pośród wszystkich domów we wsi, dom rodziców i jeszcze dwa inne domy ocalały. Kiedy rodzice wrócili, aby sprawdzić, co nadawało się do zabrania, zauważyli, że rosnący dwa metry od domu orzech spalił się doszczętnie. Zauważyli także ślady podpaleń dachu. Widoczne były ślady obecności kogoś w domu. Zapewne tych, którzy grabili i podpalali.



Płonąca wieś na froncie wschodnim. Fot. NAC.

Figurkę Matki Boskiej wyjęto z okna i postawiono na stole. Jakimś cudem nie zniszczono jej i nie zabrano.

W Posiołce Kopaczowskiej zamieszkaliśmy w domu kobiety o nazwisku Piotrowska, która została z trójką dzieci. Ta dobra kobieta przyjęła do siebie pięć rodzin. Tam zostaliśmy do końca wojny. Wszyscy mieszkaliśmy w jednym pokoju i kuchni. Miałam ze sobą łóżko. Pani Piotrowska pozwoliła mi spać z dziećmi w kuchni. Inni spali na słomie i w pierzynach. Dzieliliśmy się jedzeniem i żyliśmy w strachu.

W maju 1945 r. Rosjanie zawiadomili nas, że możemy starać się o wyjazd do Polski, bo nasz Wołyń zostanie włączony do ZSRR. Należało pojechać do Łucka po potrzebne dokumenty, m.in. paszporty. Wszystko co mieliśmy, kazali nam przywieść na rampę kolejową dworca w Rożyszczach. Przebywaliśmy tam około dwóch tygodni, z dziećmi i całym inwentarzem. Zwierzęta pozostawiliśmy uwięzane przy rampie, a sami schroniliśmy się w opuszczonym domu przy stacji. Mieliśmy papiery do Hrubieszowa i Zamościa, gdzie mieliśmy zamieszkać, ale tak się nie stało. W końcu podstawiono pociąg towarowy z krytym dachem. Wpakowywano nas do jednego wagonu po siedem–dziesięć rodzin. Zwierzęta włączono do innych wagonów. Każda rodzina zajęła swój kąt w wagonie. Siedzieliśmy i spaliliśmy na słomie i pierzynach. Pociąg ruszył w kierunku Olsztyna. Jechał okrężną drogą przez Ławę. Tam dostaliśmy polecenie, aby wraz ze zwierzętami przemieścić się do innego pociągu. Wszyscy musieliśmy złożyć się na łapówkę



Chór ludowy w
Ulanikach, gm.
Kniahininek,
pow. łucki,
lata 30. XX wieku.
Fot. ze zbiorów
autora.

22

dla Rosjan (pieniądze, wódka), aby podstawili lokomotywę, bo inaczej stali byśmy tam nie wiadomo, jak długo. Ludzie jechali brudni, nie było gdzie i czym się umyć. Dzieci miały wszy. Ja na szczęście miałam żywność, wykopaną wcześniej z kopca (zboże, ziemniaki, trochę mięsa), którą żywił się cały wagon. Kolejny postój był w Olsztynie. Pociąg wjechał na boczne tory, gdzie odcepiono parowóz. Ponownie musieliśmy płacić Rosjanom za podstawienie lokomotywy. Jechaliśmy do Paśłka. Pociąg nie mógł jednak tam dojechać, bo było pod górkę, więc zawrócił do Zielonki Paśleckiej. Późno w nocy, około godz. pierwszej, Rosjanie kazali nam wysiadać. Należało wszystko wyładować, zwierzęta i dobytek. Posadziłam w rowie na pierzynach swoje dzieci i dzieci innych rodzin. Tak przetrwaliśmy do rana. Rano zaprzęgliśmy konie do wozu i pojechaliśmy z dziećmi do wioski. Pędzono krowy, konie i inne zwierzęta. Rodziny się rozdzieliły. Jedni pilnowali dobytku, który został na stacji, inni zajmowali opuszczone domy.

Źródło: AIPN

* Zielonka, wieś o niemieckiej nazwie Grünhagen, przemianowana przez rodziny przybyłe m.in. z Ulanik i Kopaczówki, na Wołyniec, miała stać się ich nowym domem. Po krótkim czasie władze komunistyczne, prowadząc politykę zacierania niewygodnej pamięci, w czasach „bratania” słowiańskich narodów, zmieniły nazwę na Zielonkę Paślecką.

CELESTYN TORUCKI



Ulaniki, pow. łucki

Wołyń to była i jest piękna kraina. Tylko że kiedyś Wołyń był rozśpiewany i wesoły.

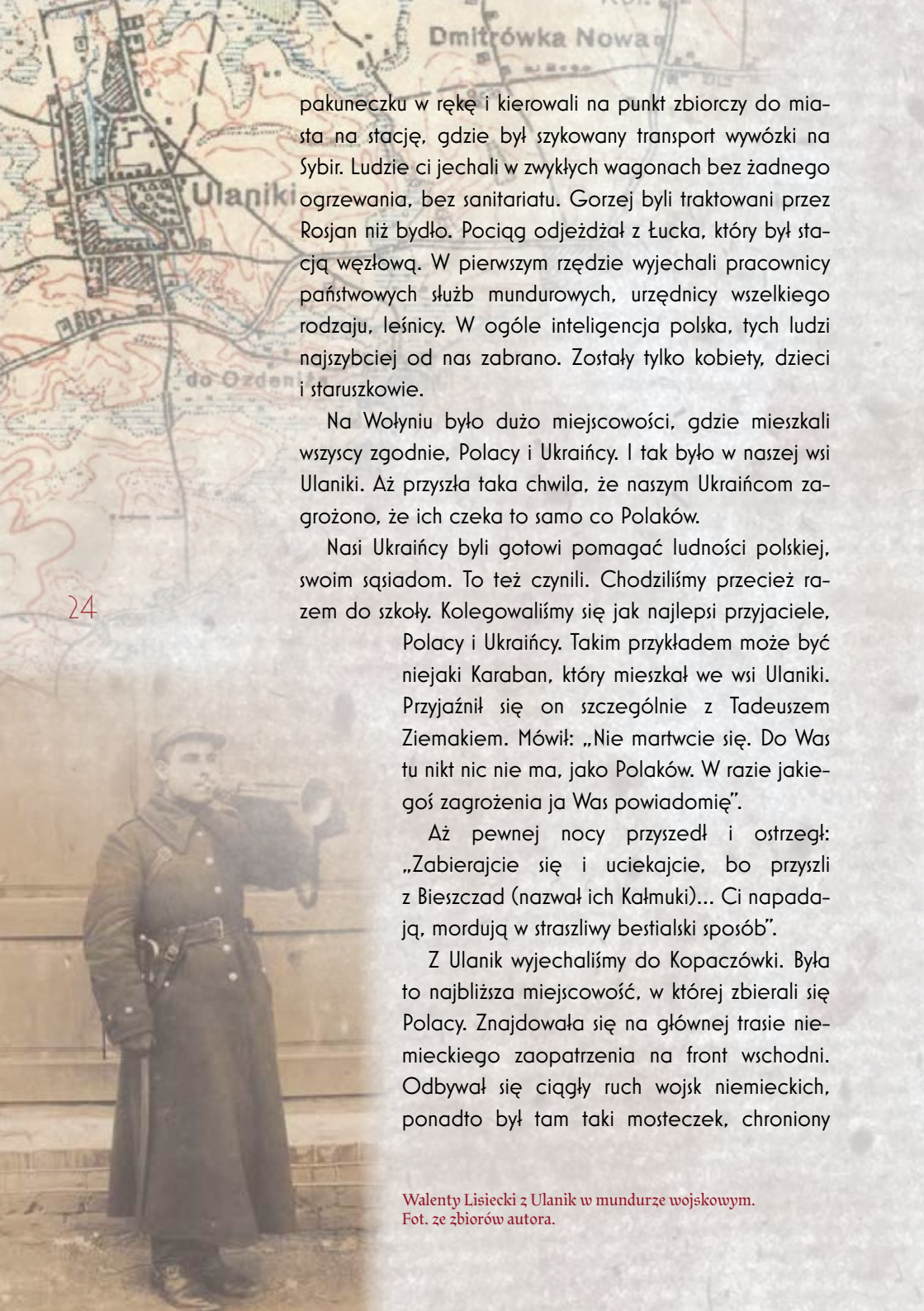
Przyszedł rok 1939 i wybuchła wojna. Pamiętam bardzo dobrze, kiedy po kapitulacji Polski Polacy z Wołynia wracali z frontu w małych oddziałach, niejednokrotnie pojedynczo, do rodzin mieszkających na terenie Wołynia. Tam już bolszewicy i Ukraińcy, głównie Ukraińcy, napadali na samotnych żołnierzy. Mordowano ich i grzebano tak, że do dziś dnia nie wiadomo, gdzie znajdują się ich groby. Trzeba podkreślić, że nie wszyscy Ukraińcy patrzyli na to z przyzwoleniem.

Kiedy nasi żołnierze wrócili z wojny (był to oddział kawalerii, składający się z 15, może 16 osób, zamieszkujących sąsiednie wioski w rejonie Ulanik) musieli nocami przedzierać się, żeby wrócić do domu. Po drodze szukali jakiejś polskiej chaty, gdzie mogliby się przebrać. Ponieważ mieszkaliśmy blisko lasu, spotkanie nastąpiło u nas w domu. Pomogliśmy im zamienić mundury na cywilne ubrania, żeby mogli przeżyć, żeby ich nie pomordowali Ukraińcy, żeby nie dać się złapać bolszewikom i nie trafić do niewoli rosyjskiej.

W pewnym momencie dowódca powiedział do żołnierzy: „Kochani, dla nas wojna się skończyła. Zwalniam was z roty przysięgi żołnierskiej. Jesteście od tej chwili cywilami”.

Gdy to powiedział, to Ci młodzi chłopcy zaczęli płakać, ścisnąć się w jakimś szale. Strasznie to przeżywali, że Polski już nie ma, że Polska już ponownie po dwudziestu latach znalazła się w niewoli, nie wiadomo, na ile wieków. Był to również wielki szok dla mojej rodziny. Wszyscy zalaliśmy się łzami.

Tak się zaczął początek II wojny światowej, tej polskiej tragedii na Wołyniu. Wywózki zaczęły się w 1940 r., były główne dwa transporty. NKWD przyjeżdżało nocą. Kazali w ciężgu pół godziny zabrać po jednym



pakuneczku w rękę i kierowali na punkt zbiorczy do miasta na stację, gdzie był szykowany transport wywózki na Sybir. Ludzie ci jechali w zwykłych wagonach bez żadnego ogrzewania, bez sanitariatu. Gorzej byli traktowani przez Rosjan niż bydło. Pociąg odjeżdżał z Łucka, który był stacją węzłową. W pierwszym rzędzie wyjechali pracownicy państwowych służb mundurowych, urzędnicy wszelkiego rodzaju, leśnicy. W ogóle inteligencja polska, tych ludzi najszybciej od nas zabrano. Zostały tylko kobiety, dzieci i starszuszkie.

Na Wołyniu było dużo miejscowości, gdzie mieszkali wszyscy zgodnie, Polacy i Ukraińcy. I tak było w naszej wsi Ulaniki. Aż przyszła taka chwila, że naszym Ukraińcom zagrożono, że ich czeka to samo co Polaków.

Nasi Ukraińcy byli gotowi pomagać ludności polskiej, swoim sąsiadom. To też czynili. Chodziliśmy przecież razem do szkoły. Kolegowaliśmy się jak najlepsi przyjaciele,

Polacy i Ukraińcy. Takim przykładem może być niejaki Karaban, który mieszkał we wsi Ulaniki. Przyjaźnił się on szczególnie z Tadeuszem Ziemakiem. Mówił: „Nie martwcie się. Do Was tu nikt nic nie ma, jako Polaków. W razie jakiegoś zagrożenia ja Was powiadomię”.

Aż pewnej nocy przyszedł i ostrzegł: „Zabierajcie się i uciekajcie, bo przyszli z Bieszczad (nazwał ich Kałmuki)... Ci napadają, mordują w straszliwy bestialski sposób”.

Z Ulanik wyjechaliśmy do Kopaczówki. Była to najbliższa miejscowość, w której zbierali się Polacy. Znajdowała się na głównej trasie niemieckiego zaopatrzenia na front wschodni. Odbывał się ciągły ruch wojsk niemieckich, ponadto był tam taki mosteczek, chroniony

Walenty Lisiecki z Ulanik w mundurze wojskowym.
Fot. ze zbiorów autora.

przez oddział żandarmerii niemieckiej przed partyzantami i zniszczeniem. Niemcy, którzy stacjonowali w Kopaczówce poznali naszą historię i stali się do pewnego stopnia obrońcami ludności polskiej.

Źródło: fragment notacji przeprowadzonej przez Jerzego Miąskowskiego w dniu 16.06.2017 r. w Zielonce Pańskiej.

KAZIMIERZ HULANICKI

Ulaniki, pow. łucki



Byłem mieszkańcem wsi Ulaniki II, gm. Kniahininek pow. łuck. Na naszym terenie mordy zaczęły się wiosną 1943 roku. Początkowo były to tylko pojedyncze zabójstwa. Ludzie myśleli, że to tylko jakieś osobiste porachunki. Z naszej wioski najpierw zginęła kierowniczką szkoły, polska patriotka, Celina Kolibska. Z nią razem zginęła Stanisława Daszkiewicz, obie mieszkały razem z Ukraińcami. Zostały prawdopodobnie wywiezione i słuch po nich zaginął. Ich ciała nie odnaleziono. W tym też czasie zginął gajowy Sawicki. Przyszło do niego dwóch Ukraińców, wyprowadzili go z domu i na podwórku zastrzelili. Żony nie ruszali. Było to na początku maja 1943 r. W końcu czerwca 1943 r., gdy Ukraińcy zaczęli mordować i palić wkoło, cała nasza wieś wyjechała do Kopaczówki gm. Rożyszcz, pow. łucki i tam się osiedliła. Była tam już zorganizowana placówka samoobrony. Musieliśmy jeździć do swojej wsi odległej o 9 km po paszę dla bydła i koni.

Było to gdzieś około 10 lipca 1943 r. Wyjechaliśmy z Kopaczówki rano, było chyba ze dwadzieścia furmanek. Mieliśmy wtedy dziesięć karabinów i jeden pistolet



Zakończenie roku szkolnego
w szkole powszechnej
w Ulanikach, gm. Kniahininiek,
pow. łucki, czerwiec 1922.
Fot. ze zbiorów autora.

26

maszynowy. Dojechalśmy do wsi Ozerce. Tam była zagroda dla bydła, musieliśmy przez nią przejechać. Gdy większość wjechała do zagrody, wtedy Ukraińcy zaczęli ze wszystkich stron strzelać. Zrozumieliśmy, że to zasadzka. Powstała panika. Zaczęliśmy się bronić i wycofywać. Kto wjechał do zagrody, nie miał szans zawrócić pod silnym ogniem dwóch karabinów maszynowych i broni ręcznej. Wycofywaliśmy się, czolgając do pobliskiego zagajnika i stamtąd osłanialiśmy odwrót pozostałych. Potem wycofaliśmy się z rejonu zasadzki i udaliśmy w kierunku Kopaczówki skąd spodziewaliśmy się wsparcia. Gdy nadeszła pomoc, zawróciliśmy z powrotem na miejsce, aby zabrać zabitych. Okazało się, że zginęło dziesięć osób: Adela Chocholska, Antoni Chocholski, Franciszek Łaskarzewski, Ludomir Łaskarzewski, Władysław Łaskarzewski, Zbigniew Siedlecki, Kazimierz Siedlecki, Gustaw Pawłowski, Władysław Pawłowski i Antoni Piotrowski.

Zabito również 3 konie, a według naocznego świadka, który schował się w pobliskim bagnie i widział, jak Ukraińcy chodzili i dobijli rannych, banda zabrała 8 par koni i 10 wozów. Byli to przeważnie Ukraińcy ze wsi Iwańczyce Stare, gdyż w tym kierunku odjechali. W niedalekiej wsi Iwańczyce Nowe miałem dwie ciotki, które gdy zaczęła się masowa rzeź Polaków, wyjechały z rodzinami do Łucka. Mieszkały tam jakiś czas, ale jacyś sąsiedzi Ukraińcy namówili je do powrotu do domu. Po kilku dniach wymordowali wszystkich. Zginęło 7 osób: Apolonia Papowszek, Józef Papowszek, Irena Papowszek, Leonard Milewski, Maria Milewska, Klementyna Tokarska. Prawdopodobnie wywieźli ich do lasu i tam pomordowali (...).

Jesienią 1943 r. kilka osób wróciło do swojej wsi do Ulanik. Ukraińcy przy spotkaniach namawiali, aby wszyscy wrócili, ale reszta nie chciała wracać, bo się bała. Była u nas taka rodzina, Polak ożenił się z wdową Ukrainką, która miała dwóch synów. Brali ślub w kościele, mieli jeszcze jedno dziecko. Uciekli do Kopaczówki. Synowie zostali w domu. Potem synowie przyjechali i namawiali, żeby wrócić, że nic im nie grozi. Zostali zamordowani w styczniu 1944 r. Zginęli wtedy rodzina Janiszewskich (Kazimierz z żoną i dzieckiem), Jakubowska Helena, Jakubowski Roman, Jakubowski Włodzimierz, Jakubowski Jan, Leśniewicz Faustyn, Pawłowski Stanisław, Bogdaszewski Władysław, Bogdaszewska Anastazja. Cała wieś została spalona (...).

Ukrainiec Neboś Kurnij wyprowadził z Ulanik do Kopaczówki starą kobietę – Chmielowską Dominikę.

Źródło: AIPN

WINCENTY ROMANOWSKI

Zdołbica, pow. zdołbunowski



W dniu 5 listopada 1941 r. wywleczono z Równego i wymordowano w jarach koło pobliskiej wsi Barmaki ponad osiemnaście tysięcy Żydów. Z tego pogromu uciekł do nas dwunastoletni syn żydowskiego tapicera.

Był to jednak początek. Ludność żydowską wszystkich miast i miasteczek zgromadzono w gettach – w specjalnie strzeżonych dzielnicach. Stamtąd wyprowadzano ją na roboty, a gdy nadszedł czas zagłady – po obrabowaniu z majątku ruchomego i kosztowności stawiano nad dołami. Dziesiątki tysięcy istnień ludzkich w rozpacz i męczarniach rozstawało się z życiem bez rozumienia przyczyn swej kaźni. Podmiejskie nieużytki zyskały rangę pomników męczeństwa, a jednocześnie pozostały ślady niezatartej hańby dla oprawców. Opróżniały się stopniowo getta wołyńskich miast i miasteczek. Najdłużej pozostawali przy życiu rzemieślnicy, lekarze i inni



fachowcy. Bestia ludzka, zasmakowawszy krwi, sumienie swoje mogła głuszyć tylko dalszym jej przelewaniem.

28

Niezatarte wspomnienie pozostało w mojej pamięci ze spotkania kompanii milicjantów ukraińskich, wracających wieczorem 13 października 1942 r. ze wsi Staromyśl do swoich kwater w Zdołbicy. Tego dnia pod nadzorem i przy współudziale Niemców prowadzili oni likwidację getta.

Całe miasto żyło tym wydarzeniem. Strzelanina do uciekających lub opornych. Trupy na ulicach getta i w jego sąsiedztwie. Krzyk i lament ofiar, wściekłe szamotanie się żandarmów i milicjantów, rozjuszonych perspektywą rzezi i gniewnych za każdy przejaw obrony przed śmiercią. Giną przy tym nieostrożni nie-Żydzi. Oto jakaś ukraińska kobieta weszła do opróżnionego domu i włożyła na siebie zostawione tam futro. Nie zauważyła w pośpiechu, że na plecach znajduje się krążek z żółtego materiału, który obowiązana była nosić dotychczasowa właścicielka tego okrycia. Na najbliższej ulicy potraktowano ją jako uciekającą Żydówkę.

Tejże jesieni spotkałem we wsi Józefówka koło Hulczy znajomego milicjanta, Bondara. Pochodził z rodziny, z którą łączyły mnie przyjazne stosunki. Po przywitaniu oznajmił mi protekcjonalnym tonem:

– Robimy porządek z Żydami. Polacy tymczasem mogą pracować. Nie mamy rozkazu (...).

Już w roku 1942 polskie wsie przeżyły niejedną zbrodnię, dokonaną przez organizatorów UPA na wybitniejszych lub zamożniejszych obywatelach.



Wieś wołyńska, początek XX wieku.
Fot. ze zbiorów autora.

Początkowo napady te ograniczały do rabunku mienia i katowania mężczyzn. Później zaczęto ich wybijać, nie czyniąc szkody kobietom i dzieciom. Na przełomie pierwszego i drugiego kwartału 1943 r. były już organizowane powszechne masakry bez względu na wiek i płeć. Nie szczędzono przy tym wyszukanych tortur.

Punktem zwrotnym i nasilającym tę akcję była rezygnacja ukraińskiej milicji ze służby Niemcom. Miało to miejsce w marcu 1943 r. we wszystkich miastach Wołynia. Wiadomość o tym zaskoczyła wszystkich. Wydawało się bowiem, że oddziały tej milicji, związane z Niemcami wspólną zbrodnią dokonaną na Żydach, nie znajdą oparcia w ojczystym środowisku, a więc nie opuszczą swoich protektorów i wychowawców. Decyzja pójścia milicji do lasu była jednym z ukartowanych posunięć banderowców. Był to akt kończący organizowanie do walki wsi i ukraińskiej ludności miast.

Przez wioski przeszedł już podawany z rąk do rąk symboliczny bochen chleba, znak dojrzałości organizacyjnej czy politycznej mieszkańców. Gdy chleb nie powrócił do punktu wyjściowego, znaczyło to, że wieś nie jest jeszcze gotowa do spełnienia misji, wyznaczonej przez prowodyrów. Biada temu, kto spowodował przerwę w tej sztafecie.

Opodal wsi lub w ich środku stały ozdobione krzyże – znak gotowości do wyniszczenia wszystkiego, co nie jest ukraińskie.

Fragment książki „Kainowe dni”, Warszawa 1990.



KS. DR JÓZEF KUCZYŃSKI

Dederkały, pow. krzemieniecki

Na wiosnę 1943, morderstwa po wsiach, a zwłaszcza po chutorach, stały się coraz liczniejsze. Polacy mieszkali przeważnie w oddzielnych zagrodach. Banderowcy, udając radzieckich partyzantów – mówili dobrze po rosyjsku – przychodzili do domów, żądali samogonki, chleba, miodu, jedli i pili, a później zabierali, co tylko im się podobało. Przychodzili przez kilka wieczorów, a kiedy nie było już nic do zabrania, gwałcili kobiety, zabijali mężczyzn i podpaliли domy. Następnego dnia przywożono mi takie opalone, zwęglone zwłoki, gdzie tylko zęby błyszcząły. Często przywozili po kilka osób naraz, dorosłych i dzieci – całą wymordowaną rodzinę. Bywało tak, że prawie codziennie miałem pogrzeb. Egzekwie po łacinie, pierwszy nokturn i mszę żałobną wkrótce umiałem na pamięć.

Zawsze grzebaliśmy uroczyście, ale bez żadnych akcentów, które wskazywałyby winnych. Napisy były najczęściej takiej treści, że nieboszczyk zmarł tragicznie.

Piękny jest maj w krzemienieckim powiecie, wszystko zakwita na łąkach i polach, ale w tym roku maj był straszny, bo ciągle słyszało się o zamordowanych Polakach, i to właśnie o takich, którzy byli najlepsi, jak na przykład Bułkiecki w Sadkach na chutorze. Ludzie przestrzegali go: „Panie Bułkiecki, proszę uciekać”. On odpowiadał: „A co ja komu zrobiłem? Za co mogą mieć do mnie pretensje?” Wkrótce został zamordowany przez sąsiadów z innej wsi, w straszny bestialski sposób. Córkę jego ciężko ranili i zostawili w polu. Przez cały dzień umierała w męczarniach i nie doczekała się żadnej pomocy.



Urząd pocztowy w Dederkałach,
pow. krzemieniecki. Fot. NAC.

Również w sąsiedztwie zabili ojca rodziny (nazwiska nie pamiętam) i wrzucili do lochu. Rodzina, która schroniła się w kościele w Dederkałach, nie wiedziała, co się z nim dzieje. Wreszcie zaryzykowali i pojechali go szukać, znaleźli trupa w stanie rozkładu. Wtedy przykryli go, obleli karbolem i przywieźli, żebym go pochował.

W Wykopcach, około 7 km od Dederkał, zamordowana została pani Kruczewiczowa. Gdy jej bratankowie poszli ją pochować, zostali napadnięci przez chłopców w wieku 17–18 lat, którzy gdzieś niedaleko pałli krowy. Jeden z braci został zabity, drugi ciężko ranny: miał przestrzeloną okolicę oka.

Nienawiść rozdzielała niekiedy w krwawy sposób rodziny polsko-ukraińskie. Pamiętam trzy takie przypadki. Pierwszy, gdy mąż Ukrainiec wskazał banderowcom, gdzie ukryła się jego żona; drugi – gdy brat prawosławny zabił brata katolika; trzeci, gdy synowie zamordowali ojca.

Na podstawie metryk zrobiłem zestawienie, z którego wynikało, że w ciągu roku 1943 zostało zamordowanych przeszło 200 Polaków, w tym około 50 dzieci do lat 14 i około 50 staruszków, mających ponad 60 lat. Wydaje mi się, że w tym zestawieniu nie była ujęta liczba ofiar z osiedla Dębina, na granicy szumskiej parafii. W tym osiedlu

stało wśród dąbrowy kilkanaście domów Polaków, którzy zostali wszyscy zabici, a osiedle spalone. Tak więc wyglądała tragiczna statystyka parafii szumbarskiej i dederkalskiej, gdzie w sumie mieszkało 1200 wiernych.

W tej sytuacji do 6 maja 1943 roku wszyscy Polacy z okolicy, którzy nie zostali zamordowani, uciekli do Krzemieńca lub Zbaraża albo schronili się do kościoła w Dederkałach. Przybyło w ten sposób ponad 100 osób, które nie miały ani mieszkania, ani odzieży zapasowej, ani utrzymania. Gnieździli się gdzieś u ludzi, a na noc przychodzili do kościoła, bo panowało przekonanie, że w razie napaści Niemcy będą bronić tylko siebie. Wobec tego powstał problem, jak zorganizować samoobronę. Na szczęście Niemcy nie wyznaczyli do obrony Dederkał „szucmanów”, tak jak gdzie indziej. Posyłali ich na ekspedycje karne przeciwko Ukraińcom, co jeszcze bardziej potęgowało ich nienawiść.

Źródło: AIPN

32

Uliczka w Krzemieńcu.

Na następnej stronie: Kościół licealny w Krzemieńcu.







34

Powyżej: Półkolonia letnia w Sarnach, zdjęcie grupowe dzieci i organizatorów.
Fot. NAC.

LEOKADIA STERNIK

Staryki, pow. sarnieński

28 maja 1943 r. o godz. 3 rano rozegrała się tragedia w Starykach (pow. Sarny). Padło co najmniej 145 osób: Antoni Lech lat 31, Franciszek Zarudzki lat 31, Anastazja Garbowska 50 lat. Reszty nazwisk nawet znanych nam osób nie pamiętamy. Zbyt dawne to dzieje i tak tragiczne, że niechętnie do tych wspomnień powracamy myślami. Wieś Staryki Ukraińcy spalili, a ludzi jak zwykle okrutnie pomordowali. Z tej straszliwej rzezi tylko nieliczni cudem ocaleli. Pozbierali wszystkie trupy i ułożyli rzędami w kościele w Starykach. Najpierw położyli przed balustradą niemowlęta, następnie dzieci małe, później młodzież, potem kobiety, a na końcu mężczyzn. Tych, co się nie zmieścili w świątyni, ułożyli dookoła kościoła. Po nabożeństwie pochowali ich we wspólnej mogile na kościelnym cmentarzu. We wsi Okopy palono, mordowano, tak jak wszędzie, a pomysłów na zbrodnie ukraińskim nacjonalistom nie brakowało.

Znałam osobiście nauczycielkę z Okop Felicję Masojadę, z którą miałam częste kontakty jako łączniczka.

Tylko dwa razy byłam u niej, bo wyjazdy do Okop były bardzo niebezpieczne. Przeważnie bywała u mnie lub spotykaliśmy się na plebanii w Rokitnie. Była to mądra i zacna niewiasta. Dobra patriotka, nauczycielka i człowiek prawy. We wsi była wszystkim bardzo życzliwa, nie tylko Polakom, ale i Ukraińcom. Leczyła nawet ich dzieci, udzielała wszelkich porad, często była rozjemcą w sprawach spornych. Jeszcze wiele mogłaby zdziałać. Ponieważ była bardzo potrzebna i lubiana, a także znana we wszystkich okolicznych wsiach, nie spodziewała się, że i ją spotka taki okrutny los, choć życzliwi Ukraińcy ją ostrzegali. Miała łączność z partyzantami sowieckimi i polskimi. Dostała zadanie skontaktowania się z Rokitnem, a także miała przywieść tak bardzo potrzebne leki, więc obiecała wszystkim ją ostrzegającym, że jedzie ostatni raz. W drodze powrotnej, we wsi ukraińskiej Kisorycze została zamordowana w bestialski sposób. Bito i kluto ją bagnetami, później powieszono za nogi, wykluto oczy, odcięto piersi, nożami odcinano ciało, rozcięto brzuch. Równocześnie zamordowano w taki sam sposób osoby jej towarzyszące. Jej gosposię Cite i woźnicę, Kaspra Kozińskiego, a jego żonę Ukrainkę odesłano do domu. Tak ginęli dobrzy obywatele Polski. Cześć ich pamięci!

Źródło: AIPN

Uczniowie szkoły powszechnej
w Iwaniczach, pow. włodzimierski,
1938 r. Pierwszy z prawej stoi
Władysław Filar.
Fot. AIPN.





JANINA ŻARCZYŃSKA z d. Lech

Staryki, pow. sarnieński

W nocy z 28 na 29 maja 1943 r. na naszą wieś napadło około 600 Ukraińców tzw. „bulbowców” uzbrojonych w karabiny, siekiery, widły i piki. Tej nocy wymordowano około 90 osób z naszej wsi. Wieś została spalona, zostały tylko cztery domy, kościół i szkoła, a przed atakiem liczyła około 120 numerów. Nasza rodzina przeżyła, choć dom został spalony, a w domu było nas dużo. Nasza sześciuosobowa rodzina (dziadkowie, mama, ja i dwóch braci) oraz ciocia Teofila z piątką dzieci.

W nocy zbudził nas straszny hałas, huk i strzały. Sąsiad uciekając krzyczał, by uciekać gdzie kto może, bo pół wsi wymordowano i cała wieś się pali. Mój dziadek szybko podjechał wozem, wyniesiono śpiące dzieci i pakowano do wozu, dołączyła do niego ciocia Teofila i babcia Karolina. Przed wyjazdem babcia poprosiła o różaniec i odmawiając różaniec szczęśliwie uciekli przez most na rzece do lasu.

Ja z mamą i najstarszym bratem zostaliśmy. Mama chyba chciała coś uratować z domu, ale to już było niemożliwe. Palił się cały dach. Obok naszego domu rosło zboże i tam uciekliśmy. Padliśmy na ziemię. Wtedy zobaczyłam naszą sąsiadkę, jak wybiega ze swojego domu z dzieckiem na rękach w naszym kierunku. Chciała przedostać się przez furtkę i wtedy dopadł do niej Ukraińiec z siekierą i jednym uderzeniem przeciął ją na pół. Jej ciało zostało na płocie, a dziecko wypadło jej z rąk na drogę. Napastnik nabił je na ostrą pikę i rzucił na palący się dach ich domu.

36

Karolina i Adam Lech, dziadkowie Janiny Żarczyńskiej z d. Lech, Staryki, pow. sarnieński
Fot. AIPN.





My zaczęliśmy czolgać się w kierunku rzeki, aby przedostać się na jej drugą stronę. Most był już zajęty, stamtąd strzelano do nas, ale szczęśliwie udało nam się wydostać na drugi brzeg. Wszyscy ci, którzy przeżyli, uciekli do miasta Rokitna oddalonego o 12 km od naszej wsi. Pomordowani zostali.

Na drugi dzień dwóch mężczyzn udało się do Staryk na cmentarz wykopać doły na pochówek. Niestety już nie wrócili, zostali tam zabici.

Z inicjatywy naszego wspaniałego księdza zebrała się grupa, która postanowiła wrócić do Staryk pochować swoich najbliższych. Ksiądz wziął w ręce krzyż i poszli. Pozwożono wszystkie ciała do kościoła. Najbliżej ołtarza ułożono dzieci, dalej kobiety, na końcu mężczyźni i odprawiono mszę. Na cmentarz już nie poszliśmy. Na posesji kościoła wykopano trzy duże doły, gdzie pochowano ciała zamordowanych. Postawiono trzy krzyże i zapalono świece.

Rodzina Lechów. Stoją od lewej: Józefa Lech, Wiktor Lech. Siedzą od lewej: Karolina Lech, Janina Zarczyńska (z d. Lech), Adam Lech i Jan Lech. Staryki, pow. sarneński. Fot. AIPN.

Źródło: AIPN



KONSTANTY JEŻYŃSKI

Aleksandrówka, pow. łucki

Moje wspomnienia z okresu zawieruchy wojennej przeżytych dni i lat koszmaru na Wołyniu.

Do 1939 r. współżyliśmy z Ukraińcami, obywatelami przedwojennej Polski na Wołyniu, w dobrym sąsiedztwie.

17 września 1939 r., po zagarnięciu Wołynia, jak i innych terenów przez Związek Radziecki od pierwszego dnia okupacji zaczęło się prześladowanie Polaków przez Związek Radziecki przy pomocy Ukraińców. Polscy Ukraińcy byli donosicielami do władz ZSRR, który Polak i jakie stanowisko zajmował w administracji Rzeczypospolitej. I w ten sposób zaczęła się koszmarna zgroza, którą nam Polakom zgotowano. Władze ZSRR i administracja przy każdej okazji oświadczały, że wszyscy Polacy muszą być wywiezieni w tajgę Syberii, bo tak sobie na to zasłużyli, z powodu tego, że są Polakami. Jako pierwszego z naszej wsi wywieźli gajowego o nazwisku Suchodolski (razem z nim jego ojca, matkę, dwóch synów i dwie małe córki).

Metoda wywózki była tak samo straszna i koszmarna. W jedną lub dwie godziny po północy NKWD zajeżdżało saniami zaprzęgniętymi w konie zimową porą w 1940 roku przy 40 stopniach mrozu. Dawali właścicielom domu do dwóch godzin na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. To jest ubrania, bieliznę i kazali brać żywność. Następnie kazali usiąść na sanie i tak wieźli na zbiorczy punkt około 13 km do Łucka na stację towarową. Kazali się przesiąść do nieogrzewanego wagonu towarowego zamykanego na kłódkę. Wkoło wagonów stało NKWD z bronią gotową

38

Władysław Filar (z lewej) z kolegą
Wasyłem Martyniukiem, Iwanicze,
pow. włodzimierski.
Fot. AIPN.





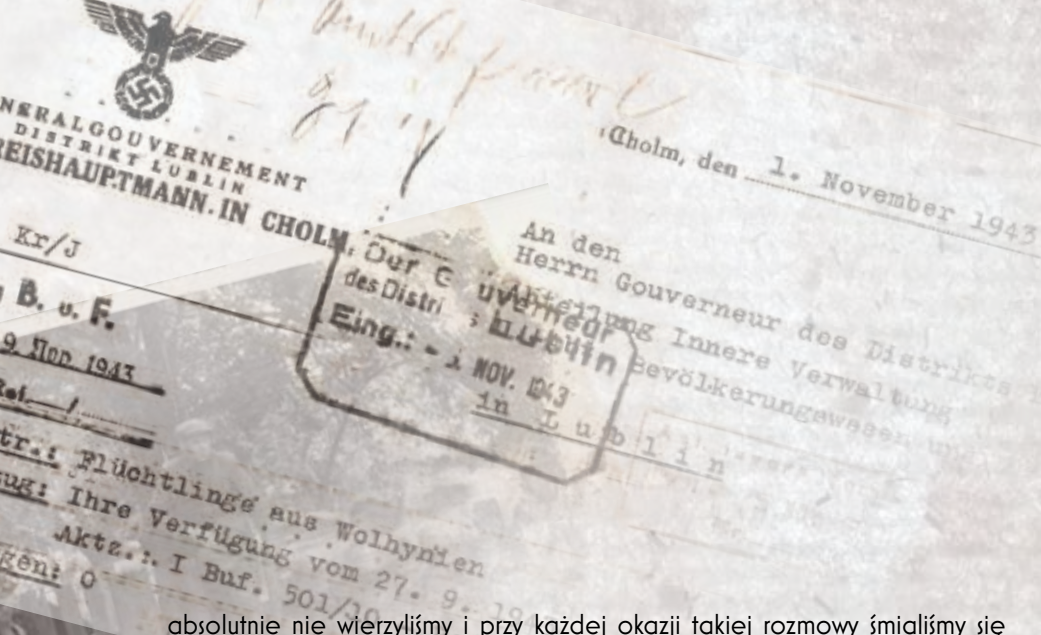
Wiec poparcia ludności ukraińskiej i żydowskiej z Kolek (pow. łucki) dla włączenia Wołynia do Związku Sowieckiego. Fot. AIPN.

do strzału. Ludzie na wieść o wywozach w głąb ZSRR zaczęli się ukrywać w stodolach i strychach.

Pod koniec okupacji sowieckiej Ukraińcy zaczęli się odwracać od współpracy z ZSRR, a niektórzy starsi Ukraińcy mówili wprost, że jeszcze niejednen Ukrainiec zapłaci gorzko za Polskę. W czerwcu 1941 r. wkroczyła do nas armia niemiecka. Tu nadmieniam, że zabudowania nasze gospodarskie stały od jezdni kierunku Łuck-Równe w odległości około 100 metrów, na wysokim wzgórzu, około 250 metrów od skraju lasu. Horyzont lekko falisty, bardzo daleko widoczny. Widziałem, wyglądając zza chałupy, jak zebrała się dość duża grupa Ukraińców z dziećmi i żonami. Trzymali na tacy chleb i sól, aby powitać Niemców.

Ludność ukraińska chodziła w glorii i rozmawiała między sobą, że Niemcy zbudują im niepodległą Ukrainę. I tak Ukraińcy ściśle współpracowali z Niemcami. Najpierw wskazywali Niemcom, który to Ukrainiec za władzy ZSRR był komunistą. Kto współpracował z administracją rosyjską, donosili też gdzie i u kogo ukrywa się żołnierz sowiecki.

I tak zaczął się 1942 r. pod okupacją niemiecką. Zaczęły dochodzić słuchy i pomówienia od Ukraińców, że zbudują Ukrainę bez Polaków i ruskich moskali. Tylko trzeba zorganizować oddziały ryzunów, którzy wyrzną nożami wszystkich Polaków i moskali. Początkowo oczywiście w te brednie



40

absolutnie nie wierzyliśmy i przy każdej okazji takiej rozmowy śmiało się z Ukraińców. Alż nadszedł 1943 rok, który stał się zagładą dla polskiej ludności na Wołyniu. Powstała administracja ukraińska, została powołana pod broń ukraińska policja, powstał Narodowy Bank Ukraiński w Łucku. Znajomi i sąsiedzi nasi Ukraińcy mówili nam: „Polacy uciekajcie, bodaj pod ziemię się schowajcie, bo nadszedł czas ostateczny. Musimy Was Polaków wszystkich wyrzucić, bo tak każe i żąda rząd ukraiński”. Ja, jako że od dzieciństwa rosolem i bawiłem się z rówieśnikami Ukraińcami, świetnie rozmawiałem po ukraińsku i niedowierzając, co mówią sąsiedzi, poszedłem na nabożeństwo do cerkwi, których na Wołyniu było bardzo gęsto. Stoję wśród tłumu w cerkwi i słucham kazania popa do wiernych, który zwraca się do nich w ten mniej więcej sposób: „Bracia chrystijany Ukraińcy, waszym obowiązkiem jest rzuć Polaków, aż będzie niepodległa Ukraina. I na tę rzeź was błogosławię”. Szybko przybiegłem do domu. Opowiedziałem to mamie i rodzeństwu, następnie sąsiadom. Powstało wielkie napięcie i strach, bo do tej pory Niemcy organizowali łapanki i wywozili ludzi do Niemiec lub rozstrzeliwali na ulicy, ale przeważnie Polaków, bo nie miał się kto za nimi upomnieć. Do naszej wsi przyjechali Niemcy w czerwcu 1943 r. Kto nie uciekł, został schwytany, między innymi i ja. Zabrano nas do roboty na stację w Łucku, aby ładować bale na wagony, ale po kilku dniach uciekłem. A wszystko to z poręki Ukraińców.

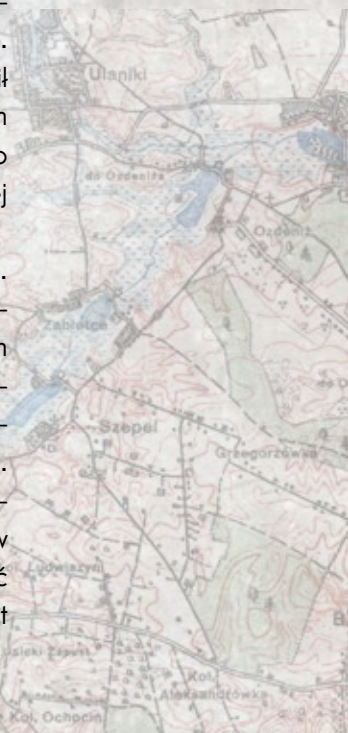
I oto gdzieś w maju–czerwcu 1943 r. Niemcy wydali rozkaz złożenia broni przez policję ukraińską. Ukraińcy rozkazu Niemców nie wykonali,

a z całym uzbrojeniem uciekli do lasów z zawołaniem „Rznąć Polaków i Ruskich”!

Między moją wsią Aleksandrówką, a Ludwiszynem, pod lasem mieszkał Polak, Łobuczek Piotr wraz z żoną, matką i małym synkiem. W wolnych chwilach od pracy w polu, zajmował się wiejskim kowalstwem, naprawiając pługi, brony itp. Mama moja posyłała mnie do Pana Łobuczka po naukę kowalstwa. Ja sam polubiłem Piotrusia i jak tylko krowy zapędziłem do chlewa, to zaraz biegłem uczyć się kowalstwa.

Dzień zgrozy w moim życiu to 16 maja 1943 r. W niedzielę rano wsiałem na konia z naszego gospodarstwa i postanowiłem pojechać przez las, bo droga była o wiele krótsza do mego nauczyciela kowalstwa Pana Łobuczka Piotra. Las około 3 km przejechałem szczęśliwie, bo też myślałem, oby mnie banderowcy nie napadli. Gdy spojrzałem przed siebie, na skraju lasu ujrzałem dymiące zgliszcza zabudowań Łobuczka. Opanował mnie nieograniczony strach i rozpacz, że stało się coś strasznego. Zawróciłem zaraz swoją klacz i popędzałem ją z całych sił różgą, myśląc, że może być zasadzka na mnie. Jechałem sobie znanymi tylko dróżkami w lesie i jak się okazało, to mnie uratowało od niechybnej śmierci, bo na głównej drodze leśnej stali ryzuny, czekali na żywych Polaków.

W moim domu powiedziałem to, co zobaczyłem. Zaraz zebrała się cała wieś uzbrojonych w kosy, widły i łopaty. Dotarliśmy do zgliszcz zagrody Łobuczka. Widziałem zwęglone ciała 4 osób. Byli to Łobuczek, jego żona, matka i synek Piotruś. W tłumie przybyłych Polaków zapanowała rozpacz, bezradny gniew przeciwko bandom ukraińskim. Ludzie doszli do wniosku, że trzeba się szybko rozejść, ponieważ bandy ryzunów mogą otoczyć i wszystkich Polaków tu zebranych wyrznąć. Na drugi dzień nadeszła wiadomość z sąsiedniej wsi Wsiewołódówka gm. Kniahininek powiat





42

Płonąca wieś na froncie wschodnim.
Fot. NAC.

Łuck, że policja ukraińska przyjechała w dzień z Łucka do Wsiewołodówki i zastrzeliła bez podania powodów, w ich własnym mieszkaniu rodzinę Żytowieckich (ojca, syna Bolesława, córkę Helenę). Matkę puścili żywą, powiedzieli jej, że ma chodzić po Polakach i mówić, żeby się wynosili z Ukrainy. Bardzo dobrze znałem rodzinę Żytowieckich. W tym czasie zaczęły do nas dochodzić słuchy z innych dalszych miejscowości polskich, iż zostawały wyrzynane całe wsie polskie.

W naszej wsi Aleksandrówka i wsi Antonówka powstał popłoch. Jedni uważali, że trzeba zorganizować samoobronę, inni uciekali do miasta Łucka. W Antonówce był zakład mleczarski, którego kierownikiem był Polak o nazwisku Małocha. Imienia nie pamiętam i on to pierwszy zaczął organizować samoobronę Polaków przed ryzunami ukraińskimi.

Źródło: AIPN

ROMUALD RODZIEWICZ

Kisielin, pow. horochowski



W dniu 11 lipca 1943 r. udałem się razem z moim kuzynem Janem Krupińskim do kościoła w Kisielinie, by nawiązać dalsze kontakty i uzyskać nowe wiadomości z terenu. W czasie mszy o godz. 12 zostaliśmy niespodziewanie okrążeni w kościele oraz cały Kisielin przez czarnych żołnierzy UPA, dobrze uzbrojonych. Nastąpiła straszliwa rzeź. Część ludzi w różnym wieku, dzieci, kobiety i mężczyźni, zginęli od razu. Nastąpiło ogromne zamieszanie, ale Ci, co byli psychicznie wytrwalsi, postanowili podjąć obronę. Kościół ten stanowił obiekt, w którym można było przyjąć obronę, gdyż była to murowana stara kolegiata. W jednym budynku kościoła i plebanii. Kilkunastu nas przetransportowało pozostałych ludzi na wyższe piętro do plebanii. Zabarykadowaliśmy wejściowe drzwi, obstawiliśmy okna z cegłami w rękach, uzyskanych z rozbiórki pieców oraz inne przedmioty. My bez żadnej broni palnej, przeciwko uzbrojonej rozwścieczonej bandzie UPA. Nie będę opisywał szczegółów, ale w walce tej od godz. 12 w dzień do godz. 2 w nocy, broniliśmy się w płomieniach i dymie, wśród zabitych i rannych, ale nie poddaliśmy się. W tym kościele i całym Kisielinie zginęły setki ludzi, w tym osoby, które znałem.

W walce w kościele zginął mój kuzyn Jan Krupiński lat 22, moja kuzynka Maria Poluch lat 23. Ranni: ksiądz proboszcz Kowalski, Sławomir Dębski, który wskutek ran doznał

Ruiny kościoła w Kisielinie. Widok obecny.



44

Rysunek Włodzimierza Dębskiego przedstawiający kościół w Kisielinie, pow. horochowski. Ze zbiorów Leona Popka.

amputacji jednej nogi, ranny również brat Dębskiego oraz bracia Ziółkowsy. W Kisielinie zamordowano dziesiątki osób, a w tym rodzinę mego znajomego Józefa Markowskiego. Upowcy zamordowali jego żonę i pięcioro dzieci. Markowski w tym czasie był ukryty w piwnicy pod podłogą. Słyszał wołanie o pomoc dzieci i żony, ale był bezradny. Gdy bandyci odeszli Markowski powrócił i zobaczył obraz straszny. Wszyscy nie żyli porąbani siekierami. W dniu następnym zorganizowałem kilku kolegów z bronią i udaliśmy się do kościoła w Kisielinie, by zabrać zwłoki Jana Krupińskiego i innych. Widziałem to straszne pobożwisko. Ciała ludzkie leżały w beładzie. W suterynach spalonej plebanii leżały zwęglone ciała ludzkie, wypalone wewnątrz kościoła. Był to straszny widok.

Źródło: AIPN

MIECZYŚŁAW ROMANOWSKI



Korma, gm. Kiwerce, pow. łucki

Szczególnie głośnym echem odbiła się na całym Wołyniu rzeź w Kisielinie. Tragiczna niedziela 11 lipca 1943 r. W tę niedzielę padał deszcz od rana, który wielu ludzi zniechęcił do udziału w nabożeństwie. To też w kościele zgromadziło się tego dnia nie więcej niż 200 osób. Jeszcze przed nabożeństwem dostrzegłem w pobliżu kościoła jakichś obcych ludzi, ale nikt nie zwracał na nich uwagi, chociaż już od dłuższego czasu mówiło się o planowanych napadach na kościoły. Po nabożeństwie, na dziedzińcu zaroilo się od czarnosotnych banderowców. Wierni momentalnie zawrócili do kościoła, wtedy bandyci otworzyli ogień. Ci, co nie zdążyli cofnąć się w porę, padli od kul banderowców w czasie już pierwszej strzelaniny. Zamknięto drzwi, zaryglowano je ogromną zasuwą. Z zewnątrz dobiegały do nas rozkazy bandytów – „wychodyte po czterech”. Wszyscy w popłochu rzucili się do kaplicy, tu dopiero ci przytomniejsi ochłonęli z przerażenia. Ktoś perswadował, po co było zamykać, oni pewnie kogoś szukają, jeśli nie otworzymy drzwi dobrowolnie, to i tak je wyważą, a wtedy wymordują wszystkich. Krzyczał Bożyński, jesteście głupi i tak nas wybiją, czy się poddamy, czy nie, przecież po to tylko przyszli. Jednakże głosy naiwnych przeważały, córka miejscowego organisty i kilka innych kobiet ruszyły do otwarcia drzwi. Około stu osób, ci którzy nie ulegli złudzeniu, co do zamiarów bandy, rzucili się do księżowskiej plebanii. Kościół – stara renesansowa kolegiata, miał grube mury i małe okienka. Podobnie była zbudowana kaplica i przylegająca do niej piętrowa plebania. Sporo ludzi przedostało się na strych plebanii, dalej nie było gdzie uciekać. Wszyscy kulili się w mrocznych kątach, chowali się za belkami stropów. Ktoś zanurzył się w ogromnym kufrze wypełnionym mąką. Kiedy już wszyscy znaleźli się na piętrze plebanii, zatrzaśnięto drzwi do klatki schodowej. Spozstrzegłem, że wszędzie stoją kufry. To ludność Kisielina, spodziewając się napadu, pozносиła swoje najcenniejsze rzeczy. Tutaj przynajmniej nie groził im pożar.




Uroczystości ku czci Gabrieli
Zapolskiej w maju 1932 r.,
Kiwerce, pow. łucki. Fot. NAC.

46

Zaczęto znosić kufry pod drzwi, po chwili drzwi zabarykadowano stosem skrzyń. Nikomu jeszcze nie przychodzi myśl o zorganizowaniu jakiegś obrony. Teraz jedyną nadzieją są drzwi podparte skrzyniami. Na dole pozostało około 60 osób, słyszymy strzały, doskakują do okien czarne zbiry i wyciągają ludzi z kościoła i mordują pod murem kościelnym. Oto widzę, jak jeden z bandytów, może 18-letni chłopak, doskakuje do jednej z dziewcząt polskich, znęciła go jej ładna kolorowa bluzka, strzał w biodro, aby nie zabrudzić bluzki. Pod murem leży już sterta ciał, niektóre jeszcze drgają, tych bandyci dobijają strzałami lub kolbami. Banderowcy pamiętają, że to nie wszyscy, rozpoczynają poszukiwania, za chwilę wylatują szyby z okien plebanii. Tupot wielu nóg i łomotanie do okien i drzwi – Wychodzić! Rozpacзлиwa chwila i próba ratunku – milczymy. Bandyci zaczynają rąbać drzwi, kobiety podnoszą histeryczny lament, tak to chyba koniec. Nagle krzyczy stary Krupiński: Na co czekacie, aż wyrąbią drzwi i nas wystrzelają co do nogi? Tchórze, brońcie się, mężczyźni psia mać! Te słowa pomogły jak smagnięcie biczem, nikt do tej pory nie myślał o obronie. Tak, trzeba się bronić, jeśli nawet nie ocalimy siebie, to przynajmniej zginie kilku banderowców.

I nagle zakotłowało się, rozbiegliśmy się po kątach w poszukiwaniu czegoś do obrony. Ktoś znalazł siekiere, inni wracają ze strychu z cegłami w rękę. Po drodze widzimy, że ksiądz Kowalski spowiada, stoi przed nim sznur kobiet łkających. Ten widok, nie wiedząc czemu, podsycił moją wściekłość. Po którymś uderzeniu ostrze banderowskiej siekiery ukazuje się po naszej stronie. Potężny zamek i nasza siekiera – to główna w tej chwili broń. Siekiera nasza uderza



w siekierę bandytów, siejąc snop iskier. Stoimy po bokach, obok nas inni gotowi do pomocy. Czekamy, nasz opór przyprawia banderowców o wściekłość. Dziura w drzwiach powiększyła się, a w niej lufa karabinu siejąca pociskami. Silne uderzenie siekierą i bandyta cofa broń. W tym czasie ludzie ze strychu znoszą cegły i inne ciężkie przedmioty. Inni rozbierają piece. Otwór w drzwiach jest już tak duży, że można przez niego rzucać odłamkami cegieł, kafli itp. Po chwili seria pocisków rozbija solidny zamek, w drzwiach pozostaje tylko jeszcze jedna zasowa, drzwi nadal pozostają zamknięte. Ustawiony nieomal na wprost drzwi erka-em wali na oslep. Odbity tynk wznieca chmury dymu i pyłu, świszczą rykoszety. Nagle drętwieję z przerażenia, przez otwór w drzwiach wpada granat, syczy i kręci się wokół własnej osi, zwalnia i cisza, chyba niewypał. Ziółkowski błyskawicznie chwytą granat, wychylony w stronę otworu z rozmachem rzuca go w gardziel korytarza. Sekundy popłochu za drzwiami i potężna głucha detonacja. Krzyki i jęki rannych za drzwiami. Następuje dłuższa chwila, banderowcy naradzają się, nagle zza drzwi pada rozkaz: „Wychodźcie, bo spalimy was żywcem”. Bandyci naprawdę próbują nas podpalić. Znoszą słomę i układają ją pod drzwiami. Słoma obłana naftą wybuchła jasnym płomieniem. Korytarz wypełnia się gryzącym dymem. Banderowcy cofają się i czekają, sytuacja staje się bardzo groźna. Dym wdziera się do środka plebanii, zaczynamy się krztusić – w całym budynku nie ma ani kropli wody. Otwór zakładamy blachą i tarasujemy skrzyniami. Chwilowo niebezpieczeństwo zażegnane, mija właśnie trzecia godzina oblężenia i znikąd nie nadchodzi ratunek. Banderowcy nie ustępują, zaczynają teraz szturmować okna. Rannych, których mamy coraz więcej, odciągamy pod ściany, przenosimy do innych pomieszczeń. Cała księżowska bielizna i pościel idzie na bandaż. Było to przygotowanie ogniowe, teraz dobiega do nas przeraźliwe „hurra”, banderowcy zaczynają atakować okna, przystawiają drabiny i wspinają się do góry



48

Rodzina przy grobie matki na cmentarzu w Kiwercach, pow. łucki.

– odpowiadamy cegłami. Błyskawiczny przechył nad parapetem i rzut cegłą w dół jak najsilniej, żeby bandyta, który oberwie był niezdolny do dalszej walki. Rzeczywiście, co chwila dobiegają nas ryki i przekleństwa. Gdy jedni z bandytów atakują okna, inni czyhają na wychylających się obrońców. Po chwili do środka wpadają dwa granaty, specjalizujemy się w ich odrzuceniu, to jedyna możliwość ratunku. Nie wszystkie granaty udaje się nam odrzucić, niektóre wybuchają na środku pomieszczenia plebani, raniąc lub zabijając najbliższej stojących. Po takim wybuchu nic nie słyszę, widzę tylko otwierające się usta, żadnego głosu. Po godzinie takiego piekła następuje dłuższa przerwa. Teraz dopiero słychać jęki rannych i dzwonięcie w uszach. Bandyci są bezkarni, wszyscy jesteśmy na pograniczu hysterii, kobiety się modlą i płaczą. Następuje następny atak do okien i zarzucanie nas granatami. Banderowcy mają ich pod dostatkiem, nie muszą oszczędzać, dochodzi godzina

Na następnej stronie: Akwarela Włodzimierza Dębskiego przedstawiająca kościół w Kisielinie, pow. horochowski. Ze zbiorów Leona Popka.

dwudziesta. Walczyliśmy – raczej się tylko broniliśmy już osiem godzin, zaczęliśmy odczuwać brak cegieł. Wszystkie piece są już doszczętnie rozebrane, rzucając ciężkimi przedmiotami, wszystkim tym, co się da przepchnąć przez otwory okienne na głowy bandytów. W przerwach między atakami banderowcy starają się nakłonić obrońców. „Poddajcie się, nic wam nie zrobimy, tylko wypuścimy bebechy z waszego klechy”. Odpowiadamy przekleństwami i cegłami. Banderowcy przeprowadzają nowy atak, sypie się więcej granatów, ale część nie trafia w otwory okienne i eksploduje na zewnątrz. Przybywa rannych, Janek Krupiński zabity, Garczyński i Ziółkowski ciężko ranni.

Okolo godz. 22 już nie możemy jednocześnie bronić wszystkich okien. Połowa mężczyzn to zabici lub ranni, pozostali też już niezdolni do obrony, do obrony włączają się kobiety i dziewczęta. Nagle wpada granat, toczy się, widzę rozdzierającą jasność – to wybuch granatu. O godz. 23 następuje zupełna cisza. Czekamy, mija półgodziny i nic się nie dzieje, co odważniejsi wychodzą, ale w ciemnościach nic nie widzą. Czy banderowcy faktycznie odeszli, czy tylko obmyślają nowy podstęp. Po tej tragicznej walce banderowcy istotnie odeszli, a pozostający przy życiu obrońcy rozbiegli się. Pozostała tylko kupa ciał pomordowanych pod murami kościoła.

Źródło: Wspomnienia Mieczysława Romanowskiego,
ze zbiorów Marzeny Kujot.





JÓZEF DOBRZYŃSKI

Rymacze, pow. lubomelski

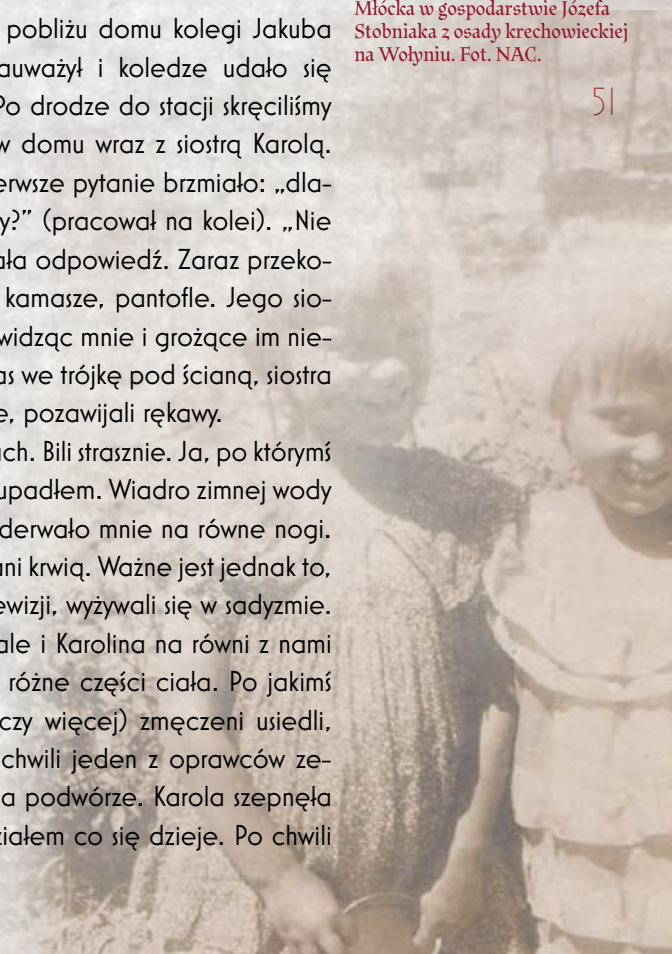
Cała rodzina poszła na pogrzeb ciotki (siostry ojca). Ja byłem chory, nie poszedłem do pracy, jak też i na pogrzeb. Około godziny dziesiątej usłyszałem walenie do drzwi. Początkowo nie mogłem zorientować się kto to. Gdy zaczęli krzyżeć po ukraińsku, wówczas uświadomiłem sobie, że to policja ukraińska. Gdy otworzyłem drzwi jeszcze nie wiedziałem, o co chodzi. Po kilku uderzeniach przekonałem się. Bili kolbami we dwóch, gdzie popadło. Byłem boso w koszuli i zdążyłem naciągnąć kalety. Zrobili rewizję. Przewracali w mieszkaniu wszystko. Nie znaleźli nic. Kazali ubierać się. Włożyłem kamasze, sweter, marynarkę. Kurtkę wziąłem w rękę i wyszliśmy. Przed domem stały sanie zaprzężone w dwa konie. Woźnicą był sąsiad Karol Czerpak. Gdy mnie zobaczył przestraszył się. Miałem rozbitą wargę, podbite oko i byłem cały zakrwawiony. Gdy jechaliśmy byłem zamroczony. Wszystko mnie



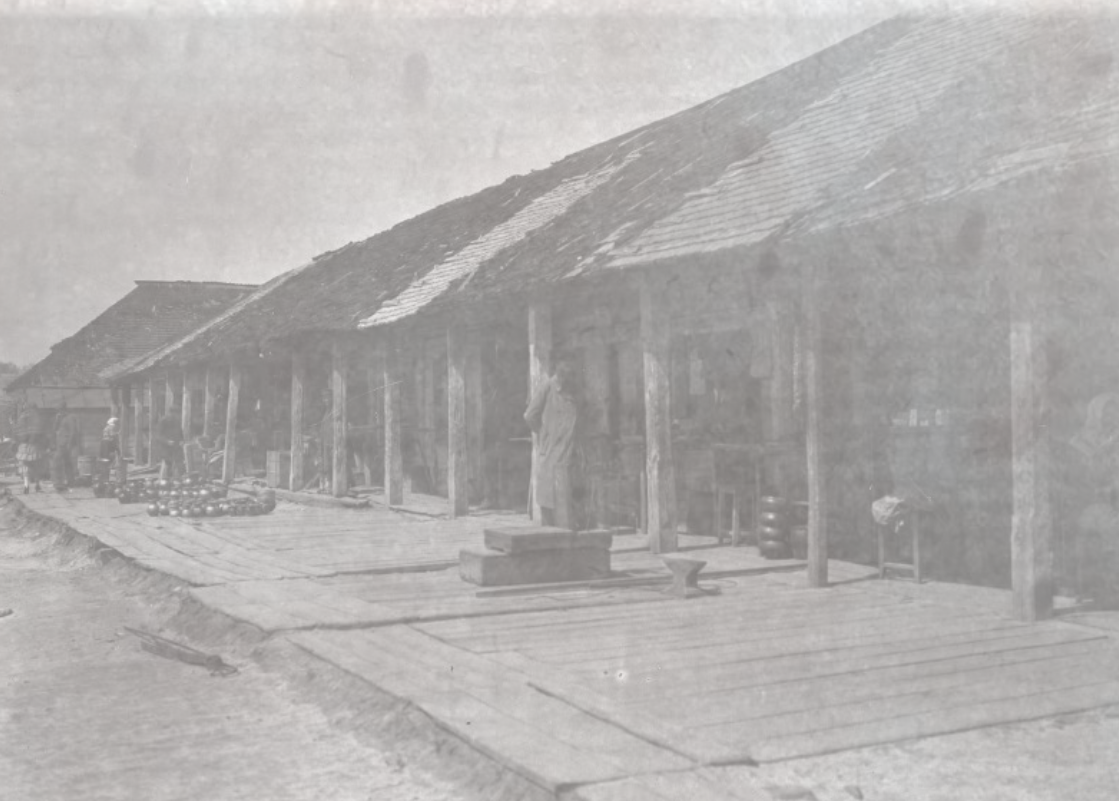
Młocka w gospodarstwie Józefa Stobniaka z osady krechowickiej na Wołyniu. Fot. NAC.

bolało. Zatrzymaliśmy się w pobliżu domu kolegi Jakuba Tołysza. Ktoś nas jednak zauważył i koledze udało się uciec. Pojechalśmy dalej. Po drodze do stacji skręciliśmy do Słazka Pawliczuka. Był w domu wraz z siostrą Karolą. Weszliśmy do mieszkania. Pierwsze pytanie brzmiało: „dlaczego nie poszedł do pracy?” (pracował na kolei). „Nie miałem w czym iść” – brzmiała odpowiedź. Zaraz przekonamy się, znajdując oficerki, kamasze, pantofle. Jego siostra zaczęła bardzo płakać widząc mnie i grożące im niebezpieczeństwo. Postawili nas we trójkę pod ścianą, siostra w środku. Pozrzucali płaszcze, pozawijali rękawy.

Kolby, kopniaki poszły w ruch. Bili strasznie. Ja, po którymś uderzeniu, zachwiałem się i upadłem. Wiadro zimnej wody wylane na głowę szybko poderwało mnie na równe nogi. Bili jednak dalej. Byliśmy zalani krwią. Ważne jest jednak to, że nie robili szczegółowej rewizji, wyżywali się w sadyzmie. Bili nie tylko nas mężczyzn, ale i Karolina na równi z nami dostawała razy i kopniaki w różne części ciała. Po jakimś czasie (nie wiem godzinę czy więcej) zmęczeni usiedli, aby odpocząć. W pewnej chwili jeden z oprawców zerwał się z krzesła i wybiegł na podwórze. Karola szepnęła – „To już koniec”. Nie wiedziałem co się dzieje. Po chwili



wprowadził rodzinę żydowską, małżeństwo i dwie dziewczynki (7 i 8 lat). Rodzina ta była przechowywana przez rodzinę Pawliczuków, po wcześniejszym złożeniu przyrzeczenia, że w razie wpadki nikogo nie wydadzą. Gdy ich wprowadzili, dzieci jadły chleb obłożony serkiem. Zauważyłem, jakimi kęsami, aż połykały, żeby im nie zabrano. Rodzina żydowska była ulokowana w komórce. Tam była ich skrytka. Przed naszym przyjazdem spożywali śniadanie. Ostatnie. Karolina podczas bicia bardzo krzyczała. Oni takich tortur nie mogli wytrzymać. Postanowili uciekać. W tym czasie padał śnieg i ślady szybko były zacierane. Ukraińiec złapał ich za stodołę. Starali się tłumaczyć, że przyszli teraz. Że mieszkają w lesie w ziemiance. Zaczęło się od pytania, czy znają nas. Odpowiedzieli przecząco. Jeden wyszedł na podwórze i przyniósł drąg. Małżeństwo przesłuchiwali, okładając drągiem. Dzieci krzycząc, czepiały się rodziców. Niczego nie mogli z nich wycisnąć. Na podłodze i suficie była krew, pościel na łóżkach była powleczone na białe. Teraz już była czerwona od krwi. Uderzył matkę dzieci w głowę. Upadła. Polali wodą i postawili na nogi. Zapytał, czy kocha swoje dzieci. Skinęła głową twierdząco. Uderzył dziecko. Upadło. Oprawca podniósł nogę i z całej siły





raǳnął w główkę. Rodzice rzucili się na oprawcę. Ojciec został uderzony drągiem. Zauważyłem rozbitą główkę i drganie ciała. Z drugim dzieckiem uczynili podobnie. Rozwalił butem główkę. Mózg rozprysnął się po całym mieszkaniu. Matce rozbili główkę na połowę. Ja podobno uderzyłem bandytę, dostałem kolbą (mam wgniecenie do dziś) i straciłem przytomność. Zawieźli mnie na posterunek. Tam jeszcze bili i polewali wodą. Nie pamiętam tego, gdyż nie odczuwałem bólu.

Później wyrzucili mnie za płótek na śnieg i mróz. Jak długo tam leżałem, nie wiem. Sądzieli, że jestem martwy. Zabrali mnie pod wieczór i zawieźli na stację do magazynu, gdzie zrobiony był lager. Tam leżałem kilka dni i jakimś cudem udało się ojcu mnie wydostać.

Nie wszyscy byli jednak tak okrutni. Mam na to dowody. Mnie z za płotu nieprzytomnego zabrał ukraiński policjant, który pilnował lagru przy stacji w Jagodzinie. Ja nie znałem go wcześniej. Nie wiem, dlaczego i w jaki sposób mnie ocalił. Przecież on musiał uzgodnić to z komendantem posterunku, jak też z tymi, którzy przed kilkoma godzinami wymordowali całą rodzinę.

Miało to miejsce 6 lutego 1943 roku, Rymacze, kol. Zajeziro, pow. Luboml.

Źródło: AIPN

Zdjęcie u góry: Zewnętrzna fasada synagogi w Lubomlu. Fot. NAC.

Na poprzedniej stronie: Żydowska uliczka w Lubomlu.



JÓZEF BOYCZA MODZELEWSKI

Sztuń, pow. lubomelski

28 sierpnia 1943 roku, ukraińskie bandy UPA przy gorliwym udziale miejscowych Ukraińców, po duchowym przygotowaniu przez popa ze Sztunia, który w cerkwi poświęcił noże, kosy, sierpy i siekiery rozdają „wirnym synom prawosławia” około 800–1000 sztuk narzędzi dla dokonania w najbliższym czasie napadu na polskie wsie, kolonie i poszczególne domy Polaków. Wymordowanie wszystkich, jak mówił „oteć” (ojciec duchowny) Pokrowski, „co do łapy”, inaczej, aż „do nogi Lachów–Polaczków”. Ta noc mordu objęła wsie: Kąty, Sawosze, Kupracze, Kolonię Terebejki, Jagodzin Stary i Nowy, Maszów, Radziechów, Sztuń, Czmykos wieś i kolonię, pojedyncze domy i osady, gospodarstwa należące do parafii rzymsko-katolickiej w Lubomlu. Wymordowano całe rodziny, niemowlęta, młodzież, kobiety młode i stare. Starych mężczyzn, którzy nie zdołali się ani obronić, ani uciec. Napastnicy następowali całymi grupami, bandytów ukraińskich UPA i zwerbowanych Ukraińców, ze wsi sąsiadujących bądź nawet i dalszych.

Źródło: AIPN

Dawny kościół katolicki
pw. Przenajświętszej Trójcy zamienio-
ny na cerkiew w Lubomlu. Fot. NAC.

HELENA MASŁOWSKA



Boremel, pow. dubieński

Po maturze od września 1932 r. zaczęłam pracować jako nauczycielka na Wołyniu w powiecie Dubno. Pracowałam początkowo w szkołach wiejskich, w których były wyłącznie dzieci ukraińskie. W 1938 roku przeniosłam się z powodów rodzinnych do szkoły w miasteczku Boremel nad Styrem. Mąż mój Mikołaj Masłowski był kierownikiem tartaku.

Pierwszego mordy Ukraińcy dokonali w naszym miasteczku w listopadzie 1942 r. Wieczorem podczas zabawy został zastrzelony młody chłopak, robotnik tartaku, (niestety zapomniałam jego nazwiska) jego ojciec również pracował na tartaku. Następną ofiarą był mój mąż.

W dniu 26 lutego 1943 r. późnym wieczorem przyszło do naszego mieszkania trzech młodych Ukraińców, wcześniej nam nieznanymi. Kazali ubrać się mężowi i zawiązali mu ręce z tyłu. Gdy wyprowadzono go przed dom, ze wszystkich stron rzucili się na niego uzbrojeni bandyci. Wybiegłam za mężem. Wtedy jeden z oprawców przyłożył mi do piersi rewolwer, zaczęła kląć i grozić mi, a przecież w mieszkaniu została moja chora matka i malutka córeczka. Za chwilę usłyszałam okropny krzyk męża. Za wrakiem

55

Uczniowie w towarzystwie wychowawców i organizatorów kolonii zorganizowanej przez Państwowy Bank Rolny w Dubnie, 1932 r.
Fot. NAC.





56

Powyżej: Ruiny wieżyczki zamku Ostrogi nad rzeką Ikwą, Dubno. Fot. NAC.
Poniżej: Obelisk z figurą Madonny w Boremelu, pow. dubieński.



czołgu niemieckiego stał wóz, rzucono na niego męża. Nic nie widziałam, bo było bardzo ciemno. Wóz ruszył ulicą w stronę rzeki Styru.

Byłam sama i bezradna. Wszystkie ulice były obstawione, widocznie bali się, że mąż mój może uciec. O tym dowiedziałam się dopiero na drugi dzień. Szukałam pomocy, pobiegłam do naszego znajomego Jabłońskiego. On mieszkał z rodziną w Dębowej Karczmie. Ten pan był kierownikiem młyna w Boremelu, wynajmował pokój. Gospodyni, u której mieszkał, oświadczyła, że pół godziny temu został wprowadzony i chyba zabity, jego ciało wrzucono na wóz. Oboje oni zostali w bestialski sposób zamordowani, a ciała (a może jeszcze żyli) z mostu wrzucono do Styru. Po sześciu tygodniach, w kwietniu, ciało męża wypłynęło. Pochowałam go we wsi Złoczówka. Ukraińiec pracujący w tartaku u mojego męża o imieniu Hołod pocieszał mnie i powiedział, żebym była spokojna. A gdy dowiędzie się od żony, że na mnie przyszła kolej, da mi znać. Rzeczywiście ostrzegł mnie i zdążyłam na czas wyjechać. Pomocy udzielił mi Niemiec. Wyjechałam w kwietniu przed Wielkanocą do Łucka. Po paru miesiącach do Lwowa i Warszawy. Przeżyłam tam Powstanie, a na koniec z dzieckiem wywieziono nas do obozu w Oświęcimiu.

Jeszcze chciałabym przypomnieć tragiczny los mojej koleżanki nauczycielki i jej męża leśniczego. Pracowali i mieszkali w okolicy Boremla. Gdy zaczęły się mordy, wyjechali razem z dwiema córeczkami gdzieś pod Krzemieniec, że niby tam będą bezpieczni. Nazwisko tej rodziny Górecky. W biały dzień przyszli banderowcy i po kolei zaczęli mordować. Zginęło małżeństwo Góreckich i ich jedna córka. Druga córka była u koleżanki Ukrainki w sąsiedztwie. Ocalałą dziewczynką ktoś się zaopiekował, a później, jak się dowiedziałam, dostarczono ją do Warszawy. Skąd pochodziła jej matka.

Źródło: AIPN

WŁADYSŁAW GÓRA



27 Wołyńska Dywizja AK

W 1943 roku bandy ukraińskie rozpoczęły mordy Polaków. Uciekliśmy do Łucka, a na początku września udałem się do placówki samoobrony w Antonówce. Tam wstąpiłem do organizacji polskiej pod dowództwem Bronisława Omańskiego „Skrzypka”. W końcu lutego 1944 poszliśmy do polskiej partyzantki stojącej we wsi Wołczak, która po bitwie pod Oździutyczami przybrała nazwę „Krwawa Łuna”. W oddziale tym spotkałem Żyda z synami, który od Wołczaka, aż do przejścia przez rzekę Prypeć był przy naszym oddziale.

Przy oddziale zgrupowania „Osnowa” było około trzydziestu kobiet Żydówek z dziećmi. Kiedyś rozmawiałem z kapitanem „Gardą” [kpt. Kazimierz Rzaniak], że przy nas są Żydzi, to on oświadczył, że nie możemy ich odpędzić, chociaż przeszkadzają nam w operatywności. Gdybyśmy ich odsunęli, to Ukraińcy zaraz by ich wydusili, a do tego nie możemy doprowadzić. Chłopcy z oddziału traktowali ich przyjaźnie.

57

Źródło: AIPN

Grupa żołnierzy 27 Wołyńskiej
Dywizji AK. Fot. AIPN.





DANUTA CHAMIELEC ZD. ŻMUDZKA

Zaskiewicze Nowe, gm. Poryck
pow. włodzimierski

W niedzielę 11 lipca 1943 roku moja mama, brat Edmund i ja poszliśmy do kościoła w Porycku na sumę. Koniecznie chcę powiedzieć o dziwnej mojej chęci przed wyjściem z domu. Dzień był trochę chłodny, więc mama przygotowała mi do włożenia czerwoną sukienkę z długim rękawem i biały płócienny płaszcz. Jak wyjmowała te rzeczy, ogarnęła mnie ogromna chęć, aby włożyć na siebie jeszcze

trzy inne sukienki. To było przecucie, że sukienki będą mi bardzo potrzebne. Mama ubrana była w sukienkę z krótkim rękawem i wełniany płaszcz bez podszewki.

Miałam wtedy dziewięć lat i dzień ten był ostatnim dniem mojego dzieciństwa, przeżycia i ciężkie warunki życia spowodowały, że wydorostałam.

Ledwie msza się zaczęła, Ukraińcy okrążyli kościół i zaczęli zabijać ludzi zgromadzonych w kościele, wrzucając granaty i strzelając z karabinów maszynowych. Ludzie szukali osłony przed kulami, ale wewnątrz kościoła nie miało żadnych miejsc, za którymi można było się schronić. Ktoś

Pierwsza z prawej, kilkunastioletnia Danusia Żmudzka (obecnie Chamielec) wraz z kuzynką Alinką Palinko. Fot. AIPN.

Na następnej stronie: Kościół pw. Św. Trójcy i św. Michała Archanioła w Porycku. 11 lipca 1943 r. podczas mszy św. oddział UPA pod dowództwem Kurenia Zawidowskiego zamordował tu około 500 Polaków. Fot. AIPN.







zaintonował „Pod twą obronę” czy podobną pieśń, została podchwycona przez innych, ale tylko na krótko. Ksiądz zachęcił wiernych i zaczął rozdawać Komunię Świętą. Przy głównym ołtarzu zgromadziło się dużo ludzi i w ich kierunku najgęściej leciały kule. Wkrótce leżeli zabici jedni na drugich. Zobaczyłam przerażający widok, jak mały chłopiec rękoma zboczonymi krwią starał się wepchnąć do brzucha wylewające się jelita. Jedna z pierwszych zabita została moja ciocia Tekla Humiczewska, leżała blisko nas. Przy niej rzewnie płakała jej córeczka Elżunia, ale ojciec szybko odciągnął ją od matki.

Leżałyśmy z mamą na posadzce wraz z kilkunastoma innymi ludźmi po prawej stronie kościoła, w pobliżu chóru. Zauważyli nas i w naszą stronę rzucili dwa granaty. Kilka osób zostało zabitych, kilka rannych, między innymi bardzo ciężko została ranna ciocia mojej mamy, Aniela Humiczewska. Nam nic się nie stało, strząsnęliśmy tylko z siebie gruz. Ona to wcześniej poddała myśl, że dobrze by było przedostać się do wnęki znajdującej się po tej samej stronie, odsunąć ruchomą, drewnianą osłonę i tam znaleźć schronienie. We wnęcie tej, przed Wielkanocą, ubierany był grób Pana Jezusa. Moja mama skorzystała z tego pomysłu. Wnęka ta znajdowała się daleko od miejsca, gdzie byliśmy, była bliżej głównego ołtarza.

Rodzina Żmudzkich z Zaszkievicz
Nowych, gm. Poryck, 1938/39 r. Stoją od
prawej: Danusia (ur. 1934 r.), Remigiusz
(ur. 1922 r.), Zygmunt (ur. 1924 r.)
i Edmund (ur. 1926 r.). Siedzą od lewej:
Władysława z małą Mirosławą (ur. 1937 r.)
i Jan. Fot. AIPN.

Mocno zgięte do przodu przesunęliśmy się pod ścianą, częściowo osłonięte przez ławki, szczęśliwie dotarliśmy na miejsce niezauważone przez napastników. Mama odciągnęła drewnianą osłonę, sama już wsunęła się do środka, a ja wchodząc, poczułam ciepło spływające mi po plecach.

Jak znaleźliśmy się we wnętrzu, mama zasunęła osłonę, pozostawiając małą szparę, aby umożliwić dostęp powietrza. Od tej chwili nic już nie widziałyśmy, ale słyszałyśmy, co się dzieje w kościele. Strzały dalej nie ustawały, słyszałyśmy jęki rannych i rzężenia konających. Później usłyszałyśmy hałas wchodzących do środka napastników i odgłosy, jakby coś robili przy głównym ołtarzu. Nastąpiła cisza, a za chwilę poczułyśmy dym, coś zaczęło się palić. Pożar zaczął przybierać na sile i wtedy usłyszałyśmy głos księdza, który wołał „ludzie, jeśli ktoś żyje, odsuńcie mnie od ognia, nie pozwólcie, abym żywcem się spalił”. Posłyszałyśmy szybkie kroki, ktoś biegł, a później odgłos przesuwania.

Tymczasem dymu robiło się coraz więcej, coraz trudniej było oddychać, oczy piekły i zachodziły łzami, a w powietrzu rozszedł się dziwny, bardzo nieprzyjemny śwąd. Mama odsunęła osłonę i wyszłyśmy z ukrycia. Tuż przy naszej skrytce leżała zabita nasza znajoma Toporkowa z raną na czole. To ona szła za mną i to jej krew oblała tył mojego płaszczyka.

Pod głównym ołtarzem leżała dopalająca się sterta słomy, od ognia zajęły się i paliły drewniane elementy wystroju ołtarza i dywany oraz bliżej ognia leżące trupy. I to palące się ciała ludzkie wydawały ciężki, przykry śwąd.

Z trudem doszliśmy w pobliże drzwi wejściowych, omijając zabitych i kałuże krzepnącej krwi. Tam zastałyśmy kilkanaście osób leżących na posadzce, był też mój brat Edmund, który z kilkoma innymi ludźmi schronił się w krypcie kościoła. Odbyła się krótka narada i ktoś poddał myśl, aby wszyscy naraz wybiegli, to może ktoś ocaleje. Dwoje ludzi się poderwało, ale jak tylko wychylili się z kościoła padła seria z karabinu maszynowego, oni upadli i już się nie podnieśli. Ja też zaczęłam podnosić się razem z innymi, ale mój brat Edzio błyskawicznie chwycił mnie za nogi i odciągnął do tyłu. W tej samej chwili nastąpił ogłuszający huk i owionął nas pęd powietrza. To eksplodował potężny ładunek wybuchowy podłożony przez Ukraińców. Wypadły wszystkie szyby w oknach, w dachu kościoła powstała wielka dziura, dym znalazł ujście, a my odetchnęliśmy czystym powietrzem.



Dziewczynki przystępujące do Pierwszej Komunii. Dwie z nich zostały zamordowane przez bandę UPA 11 lipca 1943 r. Jedna ocalała (pierwsza z prawej, Zofia Szwał). Orzeszyna, gm. Poryck, pow. włodzimierski. Fot. AIPN.

Ogień częściowo przygasł. Szybko wszyscy wróciliśmy do swoich miejsc ukrycia. Napastnicy zajrzeli do kościoła, bo słyszałyśmy ich głosy, a po sygnale przeciągłym gwizdkiem odjechali. Wkrótce do kościoła zaczęli przychodzić mieszkańcy Porycka. Szukali wśród zabitych i rannych swoich krewnych. Wtedy wyszłyśmy z mamą z ukrycia.

Przy drzwiach leżał ksiądz bardzo blady i trzęsący się z zimna z powodu upływu krwi, bo był kilkakrotnie ranny. Mama zdjęła z jakiegoś trupa płaszcz i otuliła nim księdza. Chciał też bardzo pić, ktoś mu podał wodę z kropielnicy. Jak mnie zobaczył, powiedział „o, Danusia, ty żyjesz” jakby się ucieszył. Znał mnie, bo dwa tygodnie wcześniej przystępowałam do Pierwszej Komunii Świętej. Mama wołała brata Edzia, ale jego nie było. Wyszłyśmy z mamą przed kościół, było to późne popołudnie, a tam widok nie był lepszy, jak w kościele. Cały plac zasłany był leżącymi w różnych pozach trupami, a najbardziej przeraził mnie widok kobiety przewieszanej na żelaznym ogrodzeniu.

WŁADYSŁAW MISZKIEWICZ



Huta Stepańska, pow. kostopolski

Nasze placówki jeszcze w 1942 r. przyjmowały różne wal-ki z bandami UPA, mieszkając przy tym w swoich wsiach. Jednakże stopniowo narastały napady band ukraińskich na ludność polską, nie było innej drogi, jak organizować się i nie dać się zaskoczyć, tak jak to miało miejsce we wsi Parośla, gdzie bandy ukraińskie, były dobrze zorganizowane, uzbrojone i stacjonowały w dużych ilościach po wsiach ukraińskich. Pamiętam, że to było w grudniu 1942 r. banda UPA w sile, którą trudno opisać, napadła po Parośli na wieś Marianówkę, przyjechali z taborem do rabowania wsi po wymordowaniu. Jednakże wówczas przyjęliśmy zaciekłą walkę w obronie przy małym uzbrojeniu, zabiliśmy kilku banderowców i konie. Banderowcy nie spodziewając się obrony, wpadli w panikę i poczęli uciekać, zabierając zabitych i rannych. Z naszej strony został zabity Żurawski z synem i Śtolarski Edward. Od tej chwili już Polacy

63


Zakład kąpielowy w Hucie
Stepańskiej, pow. kostopolski.



zaczęli masowo opuszczać Marianówkę i inne mniejsze wsie jak Żaramienie, Moszkopol i inne, do większych skupisk ludności jak Perłysianka, Balarka, aż do Huty Stepańskiej. Ukraińcy cały czas napadali na wsie polskie, mordując ludzi, którzy nie zdążyli uciec. Rabowali cały polski dobytek, a następnie całe wsie palili po kolei. Nic nam nie zostało, aż do Huty Stepańskiej. W Hucie Stepańskiej zaczęto organizować samoobronę, a także i w okolicznych wsiach jak Omelanka, Kamionka, Temne, Siedlisko, Wyrka, Soszniki, Perespa, Użanie, Hały i inne, aż do Rafałówki i Grabiny. W Hucie Stepańskiej zaczęło brakować żywności dla zgromadzonej ludności, to też naszym obowiązkiem było wyjeżdżać na pozostawione wsie polskie i szukać schowanej żywności. Nie zawsze można było coś przywieźć, ponieważ napotykaliliśmy na duże oddziały ukraińskie i zmuszeni byliśmy przyjmować nierówną walkę, przy tym jak zwykle były ofiary. W Hucie Stepańskiej też nie było spokoju, częste podjazdy i napady przynosiły ogromne szkody, przywożono całe pomordowane rodziny. Sytuacja z każdym dniem stawała się coraz gorsza. Słyszac, że tam wymordowano, tam żywcem spalono, jak to miało miejsce w Janowej Dolinie, gdzie w kościele zamordowano ponad 400 osób, sytuacja była nie do opisania.

Wreszcie w dniach 16 i 17 lipca 1943 r. banderowcy w sile około 40 tysięcy napadło na Hutę Stepańską i jej okoliczne wsie, tj. Omelanka, Kamionka, Siedlisko, Wyrka, Soszniki i Hały stanęły w jednym ogniu. Rozpoczęła się






masowa rzeź ludności polskiej. Broniliśmy się zaciekle, bez specjalnej broni (bo ogółem, to chyba więcej nie było jak około 20 karabinów i parę automatów, reszta to kosy pikulce, widły itp.). W sumie doszłoby do strasznej tragedii, gdyby nie zjawił się człowiek pod pseudonimem „Wujek”, „Bomba”, nazwisko jego, jeżeli się nie mylę, Kochański. On właśnie objął dowództwo nad naszą samoobroną, w ten sposób pod jego dowództwem zdobyliśmy trochę broni i odparliśmy prawie wszystkie ataki banderowców. Jednakże Huta Stepańska i okoliczne wsie zostały całkowicie spalone. W czasie tych walk został ranny w rękę nasz dowódca „Wujek”. W związku ze spaleniem naszych wsi nie pozostało nam nic innego jak ewakuować ludność do najbliższej stacji kolejowej Rafałówka. Po drodze było mnóstwo różnych napadów, podjazdów morderczych gdzie mnóstwo Polaków niestety padło ofiarą. W czasie przemarszu ludzie panicznie uciekali, często nie wiedząc dokąd i w jakim kierunku uciekać, toteż w tym wypadku najwięcej było ofiar. Po trudnych drogach dotarliśmy do Rafałówki i Grabiny, skąd jeszcze byliśmy zmuszeni powracać, aż prawie do Huty Stepańskiej w celu poszukiwania pojedynczych osób, jednak nawet całe rodziny siedziały w bagnach i dziurach, z których ponownie trzeba było ewakuować do wymienionych stacji, gdzie Niemcy tylko czekali, segregując ludzi na grupy silnych, słabych i naj-słabszych i wywozili do Niemiec na roboty.

Źródło: AIPN

65



Okolice Państwowego
Kamieniołomu, Janowa
Dolina, pow. kostopolski



66


FRANCISZKA I ROMAN PIOTROWSCY

Huta Stepańska, pow. kostopolski

Następne ofiary mordów ukraińskich, o których będę teraz pisać, zostały zamordowane w dniach od 15 do 18 lipca 1943 r., kiedy to prawie wszystkie wsie polskie zostały napadnięte jednocześnie i nie mogły udzielić sobie wzajemnej pomocy w obronie przed bulbowcami. Pamiętamy, że był to piątek, cała wieś Wyrka została w nocy około godz. 24 z trzech stron podpalona i non stop ostrzeliwana z różnorodnej broni ręcznej z jednoczesnymi okrzykami „Ura! Rizaty Lachiw!”

Mama, ja i moja 16-letnia siostra Jadzia, zaprzężonym w dwa konie wozem zaczęliśmy uciekać w kierunku wsi Siedliska, a tu pociski zapalające wystrzeliwane przez Ukraińców wzniesają coraz to nową łunę ognia. Z Siedliska zaczęliśmy uciekać w kierunku Huty Stepańskiej, gdyż i tu płonęły już prawie wszystkie zabudowania, a miejscowa ludność kierowała się do Huty Stepańskiej. W Hucie Stepańskiej zebrały się niedobitki ze wszystkich okolicznych wsi, przygotowując się do obrony w dużej murowanej szkole oraz wykopanych na przedce ziemiankach, schronach i okopach. W niedzielę rano (18 lipca 1943 r.) ogromny

Powyżej: Wieś wołyńska nad rzeką
Stry, lata 30. XX wieku. Fot. AIPN.



tabor wozów konnych wyruszył z Huty Stepańskiej w kierunku Wyrki, a stąd w kierunku Rafałówki i Antonówki w zależności, gdzie kto miał rodzinę lub znajomych. Wzięliśmy na swój wóz naszą starszą siostrę Władzię Oczuchowską, mężatkę z dzieckiem Leszkiem na rękę. W powrotnej drodze z Huty Stepańskiej widzieliśmy we wsi Siedlisko, parafia Wyrka, zaraz przy drodze zamordowanych Jana i Franciszkę Onuchowskich, lat około 40 i nieco dalej w sadzie Antoniego Onuchowskiego lat około 80, skłutego bagnetem. We wsi Wyrka (w pobliżu spalonego kościoła) widzieliśmy Helenę Felińską, kalekę na jedną nogę, lat około 38 wraz z dwojgiem dzieci (dziewczynki lat około trzech i sześciu). Również były zabite bagnetem lub nożem i leżały w zastygłej już krwi. Również we wsi Wyrka Dioniza Wawrzynowicz lat około 38 leżała zabita bagnetem w pobliżu plebanii.

67

Rysunek Włodzimierza
Dębskiego przedstawiający
kościół w Hucie Stepańskiej.
Ze zbiorów Leona Popka.





Okolice Janowej Doliny, pow. kostopolski.

68

Pragnę również nadmienić, że we wszystkich wsiach były tylko zgliszcza, a my będąc głodni szukaliśmy przy tych zgliszczach oraz w pobliżu drogi resztek pożywienia. Najczęściej wyrzucano swój dobytek i żywność przez okna z płonącego domu, a następnie uciekano ratując życie, nie biorąc nic. Jadąc dalej przez spaloną wieś Wyrka w kierunku młyna Bortnowskiego zostaliśmy ostrzelani z broni maszynowej od strony młyna czyli od sąsiedniej wsi Soszniki, którą od Wyrki dzieliła błotnista rzeczka i pasmo wierzb i olch, a w tym kierunku chcieliśmy jechać, ale konie nasze prowadzone niewprawną ręką siostry Jadzi spłoszyły się i zeszyły z drogi między drzewa. Wóz został zablokowany, a tu znów słyhać: „rznąć Polaków”. Zostawiliśmy wóz z końmi i ruszyliśmy w kierunku wsi Wydymer oraz Antonówka. Mama niosła na ręku sześciomiesięcznego Leszka, a siostra Jadzia wlokła krwawiącą siostrę Władzię.

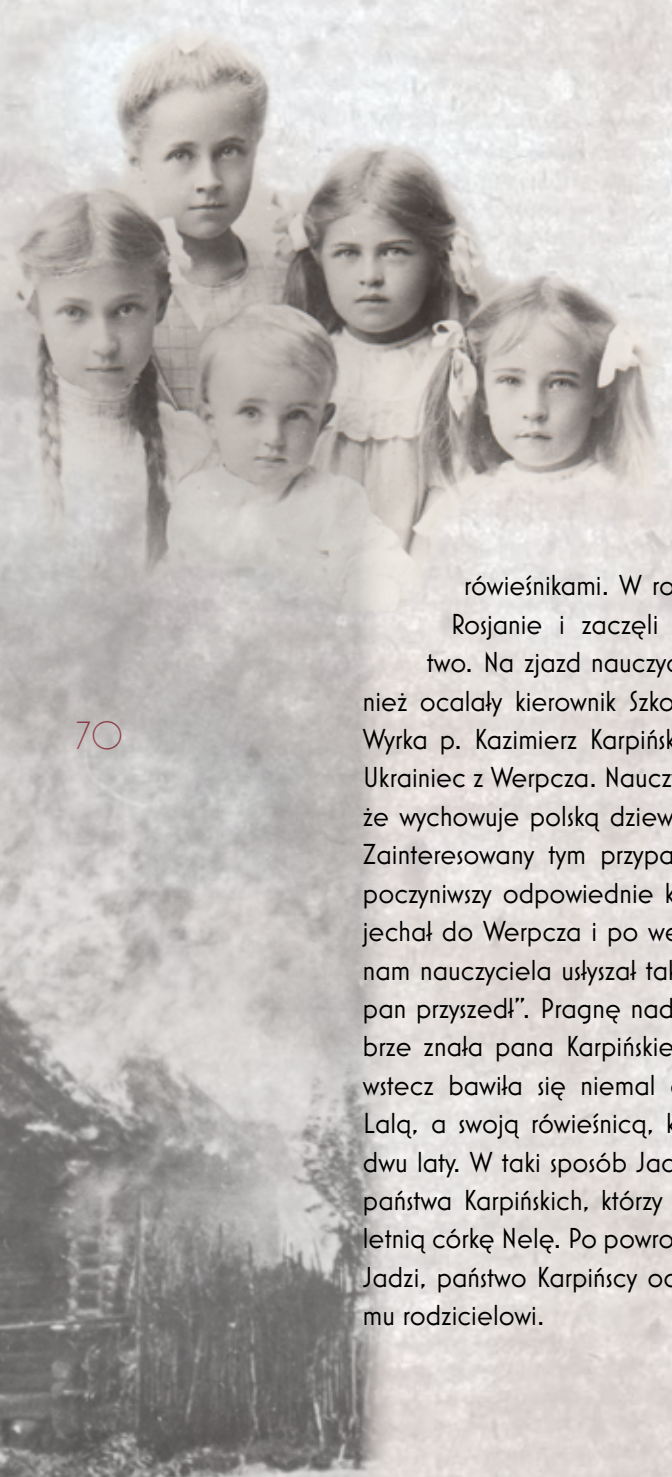
Idąc w uprzednio wymienionym kierunku we wsi Wyrka zobaczyliśmy siedzącego pod płotem własnego spalonego domu Józefa Liberę, lat około 65, miał wydłubane oczy i pełno krwawiących dziur w ciele od bagnatów. Nie mógł wstać, ale na pytanie, czy są tu w pobliżu bulbowcy, kiwnął głową potwierdzając i wykrztusił ostatkiem sił – „uciekajcie”. O kilkadziesiąt metrów dalej widzieliśmy dziewczynkę nieznaną nam, lat około 6, która stojąc nad swą zabitym matką krzyczała „oj mamusiu”. Prosiłmy, żeby szła z nami, ale została przy zabitej matce i nie wiemy co się z nią stało. Po minięciu

wni Wyrka, we wsiach następnych, aż do Wydymeru przez Ożanie i Hały mieliśmy podobne widoki, ale nie znaleźliśmy tych pomordowanych ludzi i byliśmy już tak przestraszeni, że nie szukaliśmy nawet pożywienia w przydrożnych zgliszczach i nie czuliśmy nawet głodu, będąc bardzo głodnymi i zmęczonymi. W taki to właśnie sposób dowleliśmy się do Wydymeru i tam mieliśmy kilkudniowe schronienie przed bulbowcami oraz przed wywiezieniem do Niemiec na roboty.

Skoło jestem już przy głosie nie sposób byłoby z mej strony nie wspomnieć o pozytywnym czynie nieznanych nam z nazwiska i imienia Ukraińców, którzy uratowali polską dziewczynkę, mieszkankę wsi Wyrka, a więc:

Jadzia Dziekańska lat około 6–7 była już tak zmęczona, że nie mogła iść o własnych siłach, więc jej mama niosła ją na rękach. Kula karabinowa trafiła Jadzię w udo, przechodzi przez mięśnie i trafia w pierś jej matkę Franciszkę Dziekańską. Matka Jadzi ginie na miejscu. Dziecko (Jadzia) po pewnym czasie leżąc przy martwej matce, sama bandażuje sobie szmatką krwawiącą ranę i czeka na ratunek. Przez około dziesięć dni dziewczynka w dzień jest przy swojej mamie, a w nocy śpi w pobliżu na stojącym, rozbitym wozie, pełnym pierzyn i poduszek. Jadzia żywi się wytartym z dojrzewających kłosów ziarnem, pijąc wodę ze znajdującej się w pobliżu kałuży i tak trwa, pełzając od wozu do mamy i z powrotem. Wreszcie Ukrainiec ze wsi Werpzcze przyjechał kosić pozostawione przez Polaków łany dojrzałego już zboża i w ten sposób jedna z ukraińskich rodzin znalazła ledwie już pełzającą Jadzię Dziekańską i zabrała ją do wsi Werpzcze. W Werpczu Jadzię rada wsi chciała zabić, bo to polskie dziecko, ale broniła jej nieznaną nam rodziną ukraińską oraz nauczyciel, również Ukrainiec z Werpcza umiejący płynnie mówić po polsku, który wygrał walkę o życie Jadzi i zabrał ją do siebie na wychowanie.





Od prawej: Wanda Zglinnicka,
Anna Niepokólczycka, Lucja
Lowicka, Zofia Sierżycka, Adam
Obuch-Woszczatyński, Dubno
lata 30. XX wieku.
Fot. AIPN.

Wyleczona i odżywiona
Jadzia szybko wróciła do
zdrowia i również szybko
nauczyła się ukraińskiego
języka bawiąc się ze swymi

70

rówieśnikami. W roku 1944 na w/w ziemi byli już
Rosjanie i zaczęli organizować nowe szkolnic-
two. Na zjazd nauczycieli w Sarnach zjawił się rów-
nież ocalały kierownik Szkoły Powszechnej z dawnej wsi
Wyrka p. Kazimierz Karpiński i znany nam już nauczyciel
Ukrainiec z Werpcza. Nauczyciel z Werpcza pochwalił się,
że wychowuje polską dziewczynkę ocalałą ze wsi Wyrka.
Zainteresowany tym przypadkiem p. Kazimierz Karpiński
poczyniwszy odpowiednie kroki u władz radzieckich po-
jechał do Werpcza i po wejściu do mieszkania znanego
nam nauczyciela usłyszał takie oto słowa, cytując: „o nasz
pan przyszedł”. Pragnę nadmienić, iż Jadzia bardzo do-
brze znała pana Karpińskiego, gdyż niepełne dwa lata
wstecz bawiła się niemal codziennie z jego córeczką
Lalą, a swoją rówieśnicą, która zmarła przed niespełna
dwu laty. W taki sposób Jadzia trafiła na wychowanie do
państwa Karpińskich, którzy wtedy mieli jeszcze około 14
letnią córkę Nelę. Po powrocie z niewoli niemieckiej ojca
Jadzi, państwo Karpińscy oddali dziewczynkę prawowite-
mu rodzicielowi.

Źródło: AIPN

HENRYK CYBULSKI

Przebraże, pow. łucki



Najpilniejszym zadaniem była dla nas obrona ludności. Postanowiliśmy ściągnąć do obozu mieszkańców wszystkich zagrożonych wiosek, nikomu nie odmawiać schronienia. Im więcej ludzi, tym większe trudności, ale i większe szanse przetrwania: spośród wielu tysięcy uciekinierów łatwiej było skompletować liczny i pełnowartościowy oddział samoobrony.

Nasz dotychczasowy obóz, okolony obronnymi zasiaekami, był już zbyt ciasny. Wytyczyliśmy nowe linie umocnień. Należało teraz wykopać rowy i schrony, ściągnąć z okolicy drut kolczasty, rdzewiejący jeszcze w lasach.

W dniu 5 czerwca 1943 roku zorganizowaliśmy pierwszą wielką wyprawę po ludność. Wyruszyliśmy na północ, w kierunku Kołek, oddalonych od Przebraża o dwadzieścia kilometrów. Oddziałowi, liczącemu blisko dwustu ludzi, towarzyszyły kilkadziesiąt furmanek.



Henryk Cybulski, komendant samoobrony Przebraża.

Obozowisko uciekinierów w pobliżu warownego obozu, Przebraże, pow. łucki.
Fot. AIPN.





72

A Przebraże zagęszczało się z dnia na dzień. Ludność ściągąła do nas sama lub pod eskortą naszych oddziałów. Zawsze wyruszyliśmy w silnej obstawie. Coraz częściej dochodziło do ostrych starć z bandami. Przeszkadzały nam, jak tylko mogły, dążąc do rozdrobnienia ludności polskiej i uniemożliwienia jej wspólnej obrony. Wypadki przeprowadziliśmy szybko, niespodziewanie, w najmniej oczekiwane miejsca. Zanim nacjonaliści zdolali zgromadzić większe siły, już wieś była pusta, dobytek załadowany na furmanki, a kolumnę gęsto otaczali uzbrojeni konwojenci.





Do końca czerwca 1943 roku najbardziej zagrożone wsie wokół Przebraża były już ewakuowane. Pod koniec miesiąca sprowadziliśmy jeszcze około trzech tysięcy ludzi z Kolek, małego miasteczka położonego nad Styrem. Liczba uciekinierów wzrosła do nieprawdopodobnej jak na nasze warunki – osiemnastu tysięcy! Mimo to napływ nie ustawał.

Obszar wsi nie wystarczał już do zakwaterowania wszystkich. Powołaliśmy nowe komitety opiekuńcze, mające troszczyć się o wyżywienie i rozlokowanie ewakuowanych. Nasz obozowy organizm wymagał coraz większej sprawności organizacyjnej. Tworzyliśmy już jak gdyby małe państewko z własnym wojskiem, administracją i wymiarem sprawiedliwości.

Najgorzej przedstawiała się sprawa mieszkań. U każdego bez wyjątku gospodarza gnieździło się teraz po kilka rodzin, a i tak nie wszyscy znajdowali dach nad głową. Znowu więc wytyczyliśmy nowe granice obrony, a w pobliskim lesie ludność przystąpiła do budowy baraków mieszkalnych.



Sztandar obrońców Przebraża.

Powyżej: Obozowisko polskich rodzin w rejonie samoobrony w Przebrażu, gdzie w 1943 r. znalazło schronienie od 10 do 12 tys. ludzi, a według niektórych relacji nawet do 25 tys. osób. Fot. AIPN.

Na poprzedniej stronie: Powrót oddziału samoobrony z Przebraża ze zwycięskiej wyprawy na wieś Omelno, gdzie mieścił się garnizon i szkoła oficerska Ukraińskiej Powstańczej Armii, 2 października 1943 r. Fot. AIPN.



Pamiętka z 4 Plutonu
Strzelców w Chłopinach,
Przebraże, 10 października
1943 r. Fot. AIPN.



Ludwik Malinowski,
komendant obrony cywilnej
w Przebrażu. Fot. AIPN.



„W towarzystwie niedoli,
biedy i nędzy” – mieszkańcy
Przebraża, lipiec 1943 r.
Fot. AIPN.



Ludność samoobrony Przebraża,
lipiec 1943 r. Fot. AIPN.

Trzeba przyznać, że gospodarze z Przebraża wykazali w tych dniach właściwą postawę obywatelską. Tragiczne wydarzenia wyzwoliły w nich poczucie solidarności, ofiarność, a nawet poświęcenie. Podczas przydzielania kwater, zbierania dobrowolnych lub nakazanych ofiar dla rozbitków nikt nie protestował, nie krzywił się, nie odmawiał. Dzielono się z uciekinierami, czym kto miał: mąką, ziemniakami, mlekiem, odzieżą. Wszyscy czuli się członkami jednej ogromnej społeczności, zagrożonej tym samym niebezpieczeństwem. Stawką było tu życie, sprawy materialne przestały mieć istotne znaczenie. Wszyscy rozumieli, że jedynym ratunkiem jest zgoda, wzajemne zrozumienie i zdyscyplinowanie. Z tymi sprawami dowództwo nigdy nie miało kłopotu (...).

Musieliśmy stale uaktualniać plan obrony, dokonywać zmian w systemie okopów, a przede wszystkim zdobyć więcej broni, co pozwoliłoby w krótkim czasie dokonać reorganizacji naszych plutonów w kompanie. Sprawa ta mogła mieć decydujące znaczenie dla innych słabszych ośrodków samoobrony. Sądzono powszechnie, że upadek Przebraża będzie oznaczał klęskę innych placówek.

Źródło: fragment z książki H. Cybulskiego, *Czerwone noce*, Warszawa 1966, s. 93–99, opisujący ośrodek samoobrony w Przebrażu.

* Przebraże obroniło się. W styczniu 1944 r. do ośrodka wkroczyli Sowieci, którzy rozbroili samoobronę, a mężczyzn w wieku poborowym wcielili do wojska polskiego. Pozostałych mieszkańców wywieziono na Ziemię Zachodnie. Dziś wsi o tej nazwie już nie ma.



WŁADYSŁAW FILAR

Iwanicze, pow. włodzimierski

Na początku 1943 roku dochodziły do nas wiadomości, że we wschodnich powiatach Wołynia są mordowani Polacy. Mordercami byli Ukraińcy i ukraińscy nacjonalści: „bulbowcy” i „banderowcy”. To było dosyć daleko od nas, ale nas to już niepokoiło. Tak się złożyło, że w tej samej miejscowości mieszkał Jerzy Krasowski, który był nauczycielem i oficerem wojska polskiego, o czym wiedział tylko mój ojciec. Krasowski uczył w ukraińskiej szkole matematyki i fizyki, ale jednocześnie był zaangażowany w konspirację i zawsze z moim ojcem rozmawiali o tych wszystkich sprawach, naszych polskich sprawach.

76

Konspiracja na Wołyniu była słaba. Przede wszystkim w naszej miejscowości nie było żadnej broni.

Zależało nam głównie na tym, żeby ludzie byli ze sobą umówieni, wymieniali pewne informacje. Wiadomo było na kogo można liczyć, na kogo nie. Miałem wtedy 19 lat, gdy zapisałem się na listę konspiracyjną i zostałem

Władysław i Wiera Filarowie z córką
Eleonorą przed domem rodzinnym
w Iwaniczach, pow. włodzimierski,
1936 r. Fot. AIPN.





zaprzysiężony przez Jerzego Krasowskiego. Wykorzystywano mnie przede wszystkim do łączności z innymi miejscowościami, w których mieszkali nauczyciele, Polacy należący do konspiracji. Nieraz woziłem do nich jakieś meldunki, sprawozdania. Czasami nie wiedziałem co wiozłem. W ten sposób poznałem kilka osób z konspiracji.

6 stycznia 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę II RP pod Sarnami. Dowódca okręgu wołyńskiego AK pułkownik Kazimierz Bąbiński wydał rozkaz mobilizacji i koncentracji wszystkich oddziałów partyzantskich i konspiracyjnych w dwóch miejscach: na południe od Kowla i na północ od Włodzimierza. 20 stycznia 1944 r. przychodzi do nas łącznik z rozkazem: „Wyprowadzić batalion na południe od Kowla”. Robimy plan, tworzymy zespoły, które mają to zorganizować. Po drugie: mieliśmy załadować całą żywność i broń – wszystko, co można zabrać – oraz rozbroić Niemców. Mieliśmy ściągnąć do koszar wysłane posterunki i dopiero wtedy zarządzić wymarsz do miejsca koncentracji. Wiedzieliśmy, że jeżeli cała operacja przedłuży się, to Niemcy nas rozstrzelają. Elektrownię, z którą podtrzymywaliśmy kontakt konspiracyjny, poprosiliśmy,



78

Zdobycie Lubartowa przez
27 Wołyńską Dywizję AK,
1944 r. Fot. AIPN.

aby nie wyłączyli światła na noc, żebyśmy nie wychodzili po ciemku. Ja wszedłem na salę, a tam były koszary jeszcze z czasów carskiej Rosji. Takie olbrzymie sale podparte słupami. Wszedłem na taką jedną salę w uzbrojeniu i zapaliłem światło. Wszyscy się poderwali. Przemówiłem tam do nich. „Koleżdy nadszedł czas, by walczyć o ojczyznę. Mamy rozkaz wyjścia na koncentrację. Proszę się ubierać, zabierać wszystko, zachować idealną ciszę i słuchać tych, którzy będą wydawać rozkazy”.

Oddział wyruszył w idealnej ciszy, a był trzaskający mróz, około 20 stopni mrozu i dużo śniegu. Tutaj mieli ciepło, a gdzie my pójdziemy, ja im nie mogłem powiedzieć. Czy pójdziemy do jakiś koszar, czy będziemy mieli jakieś domy do mieszkania? Ja wiedziałem tylko, że mam wyprowadzić oddział i gdzie go doprowadzić.

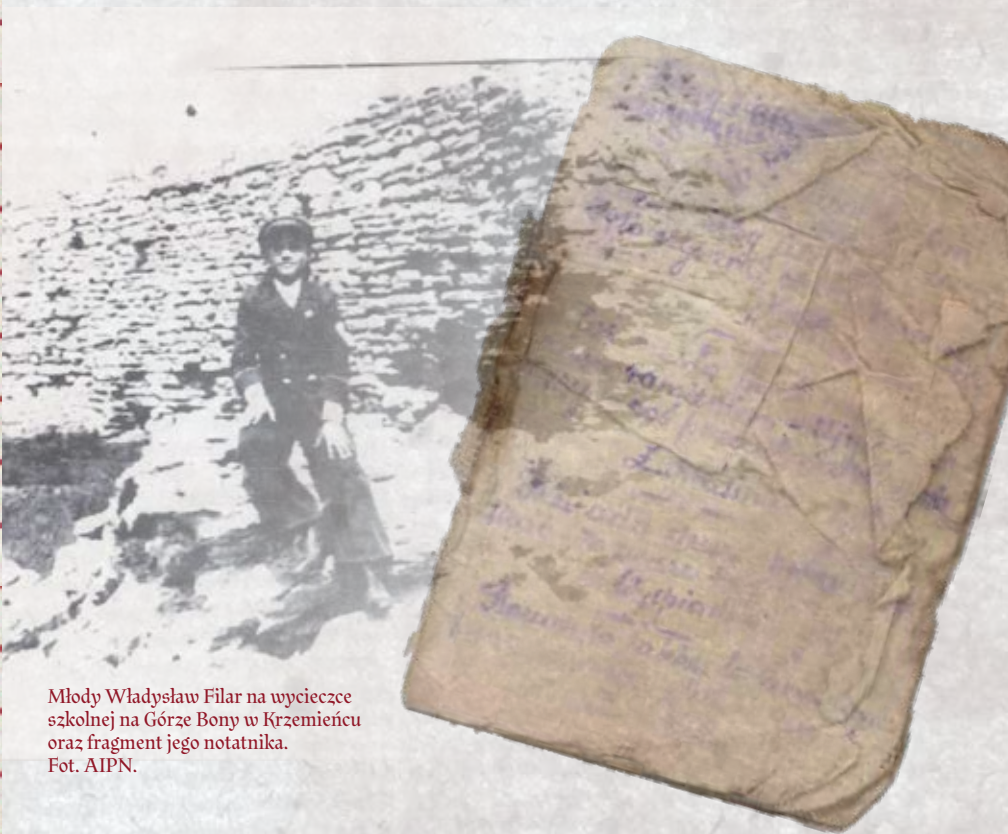
No i jedziemy. Podjeżdżamy pod tory, które prowadzą z Kowla. A w Kowlu garnizon cały niemiecki bronił się już przed sowietami. Podjeżdżamy pod tor, patrzymy, a torem jedzie pociąg z Kowla. Pełno żołnierzy do Włodzimierza Wołyńskiego. Pomyśleliśmy, że może już wiedzą, że myśmy

wyszli i nas szukają. Mówimy sobie: „Nic. Będziemy się bronić, będziemy się bić”. No i czekamy co będzie dalej. Ale nie zwrócili na nas uwagi.

Jak pojechali, to przeskoczyliśmy przez tory i napotkaliśmy nasze patrole, które poprowadziły nas dalej. Tak przyjechaliśmy do wsi Suszybaba (siedziby kwatery polowej sztabu Okręgu Wołyńskiego Armii Krajowej), gdzie przygotowane dla nas było jedzenie i odbyła się msza święta. Jeszcze raz składaliśmy przysięgę, bo wszyscy nie byli zaprzysiężeni. Ja trafiłem do pierwszego batalionu 50 pułku piechoty (pod dowództwem por. Michała Fijałki). W ten sposób 21 stycznia 1944 r. powstała 27 Wołyńska Dywizja Armii Krajowej, a ja zostałem jej żołnierzem.

Źródło: AIPN

79



Młody Władysław Filar na wycieczce szkolnej na Górze Bony w Krzemiercu oraz fragment jego notatnika.
Fot. AIPN.

Tekst i opracowanie:

Karol Lisiecki
Katarzyna Lisiecka

Recenzja:

prof. dr hab. Marek Wierzbicki
dr Leon Popek

Projekt graficzny i skład:

Karolina Piotrowska

80

Wykaz skrótów:

NAC – Narodowe Archiwum Cyfrowe
AIPN – Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

© Copyright Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu
Oddział w Gdańsku

Gdańsk 2019